



# BIAŁE PORZECZKI

*Polska walcząca na Wschodzie*

ROK III Nr 32 (71)

NIEDZIELA 15 SIERPNI 1943 R.

20 P.

## ŚWIĘTO ŻOŁNIERZA

Są w dziejach świata wśród wielkich wydarzeń wojennych takie, których znaczenie nie ogranicza się do wywoływania przemian w istniejącej sytuacji politycznej, do wzmocnienia potęgi zwycięzcy, czy do podbojów terytorialnych. Ich skutki wychodzą daleko poza te granice, wpływając na losy całych kontynentów, na ich kulturę i porządek społeczny. Ma to miejsce przede wszystkim wtedy, gdy w starciu biorą udział nie tylko odrębne organizmy militarno-polityczne, lecz gdy walka toczy się pomiędzy stronami o zasadniczo różniących się światopoglądach społecznych lub też przynależnych do odrębnych, wrogich sobie kultur.

Wówczas zamiarem agresora jest nie tylko uzyskanie konkretnych ustępstw ze strony wroga, odebranie mu pewnych terytoriów czy zniszczenie jego sił zbrojnych. Celem ataku jest wtedy całkowite unicestwienie przeciwnika, rozbięcie jego cywilizacji, tły na jej gruzach wnieść nowy gmach własnej organizacji życia społecznego. Taki charakter miały najazdy Persów na starożytną Grecję, Hunów na dogasające imperium rzymskie a późniejszą inwazją arabską, napady Tatarów i próba podboju Europy przez Turków.

Maraton i Salamina, zwycięstwo Karola Młodego pod Tours, bój pod Lignicą i odsiecz Wiednia przez Sobieskiego były bitwami o decydującym znaczeniu dla takich właśnie wojen. Każda z nich w swoim czasie uratowała europejską cywilizację starożytną, średniowieczną względnie nowożytną przed zniszczeniem przez ludy obce rasą, religią i kulturą.

Polscy w tych ogólnoeuropejskich wojnach obronnych, szczególnie jeżeli chodzi o najazdy ze wschodu i południa, przypadał udział chlubny a nieraz, jak pod Lignicą i Wiedniem, decydujący. Było to konsekwencją naszego położenia geo-politycznego, że nawały idące z Azji uderzały przede wszystkim o brzozi naszego państwa. Walczyliśmy w obronie własnej, ale chroniliśmy w ten sposób od wojny a może i zagłady całą zachodnią Europę. Relia Polska była w tych walkach doceniana i nagradzana zaszczytnym przydunkiem „przedmurza chrześcijaństwa”. Nie przyczyniła się jednak do wytworzenia przekonania o konieczności istnienia silnej Polski, jako jednego z filarów sklepienia bezpieczeństwa Europy. Polsec, która go tylekroć ratowała, Zachód pozwolił upaść nie udzielając jej żadnej pomocy.

Traktat wersalski ustanawiając nowy porządek europejski po pierwszej wojnie światowej, stworzył rozmaite systemy mające zabezpieczyć światu długą erę pokoju. Nie wzięto jednak pod uwagę, że jedną z najpewniejszych gwarancji europejskiego bezpieczeństwa byłoby silne państwo polskie. Zamiarem wielu czynników wówczas decydujących było utworzenie Polski zamkniętej ściśle w etnograficznych granicach, choćby one były ekonomicznie i militarnie najbardziej bezsensowne. Zapomniano o tym, że słowo „Polska” było zawsze znacznie więcej państwowo-politycznym niżeli ściśle narodowym pojęciem. Nie wzięto pod uwagę, że w dawnej Rzeczypospolitej kilka narodowości żyło w zgodzie, wspólnie tworząc wielkość i potęgę państwa: że tylko dzięki temu Polska w ciągu szeregu wieków mogła kilkakrotnie ocalić Europę przed obcymi inwazjami.

Wydarzenia wykazały niebawem, jak bardzo błędne było podobne postawienie sprawy. Zaledwie narodził się młode państwo polskie stanęło wobec konieczności wywalczenia sobie granic, któreby mu dawały możność istnienia. Musiało skupić swój wysiłek na obronę terytoriów, których przynależność nawet ze względów etnograficznych nie mogła budzić wątpliwości jak Górnego Śląska, Pomorza i Gieszyna. A tymczasem od wschodu szła burza, prosiąca nie tylko Polsec, ale i całemu z trudem odbudowującemu się porządkowi europejskiemu.

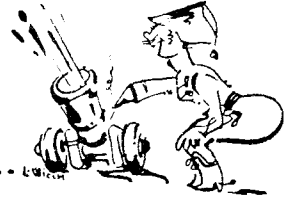
Po „przewrocie, który obalił najpierw carat a następnie reżim Kiereńskiego, przyszyły do władzy w Rosji żywiły, których celem było rozniecić płomień rewolucji w całej Europie. Zwycięskie no-

(Ciąg dalszy na str. 2)





# Damy i HUZARY



Cechą prawdziwego dzieła sztuki jest, że nie bacząc na upływ lat zachowuje swe zasadnicze wartości, że myśli i wydarzenia, które są jego treścią, nie tracą na aktualności w najbardziej nawet zmienionych warunkach. Już dobrze ponad sto lat liczą sobie utwory Aleksandra Fredry, a przecież bieg czasu nie odarł ich z rumieńców wiecznej świeżości i dziś tak samo jak w epoce przedlistopadowej olśniewają widza rozmachem i barwnością widowiska, bawią nieporównany komizmem typów i sytuacji oraz pobudzają do refleksji nad problemami, które pomimo wszystkich przeobrażeń jakim życie społeczne bezustannie ulga, powtarzają się niezmiennie w każdym pokoleniu od niepamiętnych czasów.

Musiał chyba Fredro, może gdy jako wspaniały szwoleżer napoleoński przemierzał Europę od Pirenejów do Moskwy, doznać bolesnej porażki miłosnej w starciu z jakimś zasobniejszym choć niemłodym współzawodnikiem, lub może zaobserwował podobny przypadek wśród swych najbliższych, bo problem konfliktu na tle rywalizacji młodości bujnej i pięknej z zamożną choć reumatyzmem i kolką dotkniętą starością jak nie przewodnią snuje się przez większość jego utworów. A teściowa to już chyba mocno panu Aleksandrowi dopiekła, bo mści się na niej bez litości. Starsze panie, a szczególnie matki panien na wydaniu, przedstawia Fredro jako zhisteryzowane, pretensjonalne i chciwe matrony, tyranizujące mężów, dzieci i całe otoczenie. Strzeż się teściowej! — taki tytuł możnaby nadać niejednemu z jego utworów. Mężczyzn, w szczególności podstarzałych ale wiecznie łasych na wdzięki nie-

wieście, także Fredro nie oszczędza. Ujawnia wszystkie ich słabości, kpi z powszechnych choć starannie skrywanych ułomności wywlekając je bez ceremonii pod światło kinkietów.

zistości odbicia. Świadomie skażone groteską postaci jego bohaterów są przeciw widzowi tak bliskie i zrozumiałe, że wydają się żywcem przeniesione z codziennej rzeczywistości.



Major (Stanisław Belski)

Powiedział Szekspir, że teatr jest zwierciadłem życia. W takim razie teatr Fredry jest zwierciadłem wprawdzie krzywym, ale o wielkiej wyra-

li w tej okoliczności szukać trzeba tajemnic powodzenia sztuk Fredry, ona sprawa, że są one jak burgund — im starsze tym smakowitsze.

Grano Fredrę jak Polska długa i szeroka. Stanowił atrakcję zarówno w stołecznym Teatrze Narodowym, jak i w sekcji dramatycznej towarzystwa przyjaciół straży pożarnej w Kocmyrzowie. Ale dopiero po raz pierwszy zabłądził pod namioty. I nigdzie chyba nie spotkało go tak gorące i serdeczne przyjęcie, nigdzie nie sprawił swym widzom tak wielkiej radości jak tu, gdy pod wyiskrzonymi gwiazdami niebem pustyni irackiej, wystawiono jedną z najpiękniejszych jego komedii „Damy i huzary”. A wystawiono tę sztukę, powiedzmy szczerze, tak jak to potrafi tylko prawdziwy teatr. Wysokiej klasy reżyseria w połączeniu z doskonałą grą aktorów, uzupełniona rzeczwiście artystyczną oprawą sceniczną złożyły się w sumie na widowisko o dawno nie widzianej świetności.

Widownia reagowała żywiłowo. Oklaskom naprawdę nie było końca. Wbraw temu co się często mówi, żołnierz poznaje się na dobrej sztuce, ocenia wysiłek i trud aktorski i jest za nie naprawdę wdzięczny. Szczegółowej pikanterii dodawałi sztuce aktualność niektórych sytuacji. Niejeden młody podchorąży, kapral czy całkiem zwykły strzelec z melancholią zauważył: że jednak psychika kobieca od czasów Ewy pozostaje ta sama, wcielając się tylko w coraz to nowe postaci. Warunki życia w zmotoryzowanym tempie rzucającego nami po różnych kontynentach sprawiły, że dziś młoda „pestka” nie potrzebuje rad doświadczonej matnusi dla realistycznej oceny wartości materialnej strony życia i bez żadnych wskazywek, wie jak na miękki wosk urobić pozorne tylko stalowe serca groźnych szarż

## ŚWIĘTO ŻOŁNIERZA

(Dokończenie ze str. 1)

carstwa tzw. „entente'y” zrozumiały niebezpieczeństwo. Dlatego też nie tylko wspomagały bronią i sprzętem wojennym kontrolujących generałów Denikina, Kozłzaka, Jude-nicza i innych, lecz zdecydowały się na bezpośrednią interwencję zbrojną celem zniszczenia bolszewizmu. Akcję podjęli W. Brytania, Francja i Japonia. Anglicy wylądowali w Murmańsku i Archangielsku, Francuzi w Odesie a Japończycy zajęli Władywostok. Pomimo tyłu przeciwników i wielkich trudności wewnątrz, ustrój sowiecki odniósł triumf. Sprzymierzeni musieli opuścić Rosję a kontrrewolucyjni generałowie zostali rozgromieni.

Moment ten uznany został przez bolszewików za właściwy do podjęcia wielkiej ofensywy rewolucyjnej, celem opóźnienia przynajmniej części Europy. Panowanie Beli Kuh-na na Węgrzech, niepokoje społeczne we Włoszech oraz rewolty Spartakowców w Niemczech wy-dawały się wskazywać, że trzeba tylko iskrę, aby obficie nagromadzone prochy wybuchły. Iskrą to miało być pojawienie się armii czerwonej w środku Europy.

Ale przeszkodą na drodze do

Europy była Polska. I dlatego Polska miała być zniszczona. Rosja uderzyła na Polskę, pomimo że Polska jak dzisiaj tak i wówczas nie zamierzała wtrącać się w wewnętrzne sprawy rosyjskie. Nie bacząc na presję mocarstw zachodnich Polska odmówiła koordynacji i synchronizacji swych działań wojennych z „białymi” generałami. Bo nie dla imperialistycznych celów, a tylko w obronie swej niepodległości, kultury narodowej i praw do bytu zdecydowała się Polska walczyć.

Z początkiem czerwca 1920 roku armia sowiecka rozpoczęła ofensywę. Młoda i niełeczna stosunkowo armia polska, źle zaopatrzona i słabo uzbrojona, nie mogła powstrzymać uderzenia przeważającej siły nieprzyjacielskich. W pierwszych dniach sierpnia 1920 roku bolszewicy stanęli pod Warszawą, a ich północne skrzydło forsowało Wisłę pod Toruniem i Włocławkiem. Przerzanie ogarnęło Zachód, radość zapanowała w Niemczech.

Ale Polska w obliczu śmiertelnego niebezpieczeństwa zdobyła się na wysiłek, który wydawał się niemal że niemożliwością. Pomoc z zachodu

nadchodziła bardzo słabo, transporty broni i amunicji które wysyłała Francja zatrzymywali Czesi i Gdańszanie, o bezpośredniej zbrojnej interwencji na rzecz Polski w ogóle nie było mowy. Zrozumielśmy, że możemy liczyć tylko na swoje siły, że wyłącznie własnym wysiłkiem musimy odeprzeć najeźdźcę. W tej chwili dziejowej próby naród i żołnierz polski stanęli na wysokości tak trudnego zadania. W chwili, gdy gazety niemieckie podawały triumfalnie wiadomość o upadku Warszawy, potężne przeciwuderzenie polskie z nad Wieprza, prowadzone osobiście przez Józefa Piłsudskiego, powoduje radykalną zmianę w sytuacji. Wojska sowieckie rozbiły, odpływają w popłochu na wschód, setki tysięcy jeńców wpada w ręce zwycięzców. Polska a z nią Europa zostały ocalone.

Zyciowość to było wyłącznym czynem żołnierza i dowództwa polskiego. Pożyteczna praca francuskiej misji wojskowej gen. Weygand'a była jednak tylko pracą pomocniczą i dlatego jakże słuszne było, że obchodowi rocznicy tego zwycięstwa, jednego z najpiękniejszych w naszej historii, nadano charakter święta żołnierza polskiego. Obchodziliśmy to święto dzień po dniu, raz w raz i szczęśliwej Polsce, dziś po raz czwarty obchodzimy je na obczyź-

nie. Musieliśmy opuścić kraj, gdyż wierni odwiecznym naszym tradycjom stanęliśmy do walki z ponownie zagrażającymi światu falami barbarzyńskiej tyranii. Zawiodły skomplikowane systemy mające zapewnić światu pokój i bezpieczeństwo, zawiodły umowy, gwarancje i traktaty. Nie zawiodł jednak naród i żołnierz polski.

Jak wówczas w 1920 r. los nasz łączył się z losami Europy. Nasz upadek, nieunikniony wobec olbrzymiej przewagi sił, jakie na nas runęły, zdecydował, jak się później okazało, o upadku Europy. Długą nocą niewoli płaci Europa za niedożalenie kluczowego znaczenia położenia Polski.

Teraz, gdy każdy dzień zbliża się nas zdaj: do chwili, w której ponownie ustalany będzie układ sił w Europie, doświadczenia wynikające z 1920 i 1939 roku winny być wytyczną dla tych, którzy o tym układzie decydować będą. Jedną z najpewniejszych gwarancji bezpieczeństwa kultury europejskiej i spokoju na naszym kontynencie będzie, jeżeli święto żołnierza obchodzą będziemy mogli w Polsce nie podległej obcym wpływom, opartej o szersze granice i sprzymierzonej ściśle z wielkimi demokracjami.

Zbigniew Racięski



Pierwsza z prawej Orgonowa (Jadwiga Domańska), Dyndalska (Klara Belska), Aniela (Anna Wdowińska)

A szarżę... No cóż... Iluż widzieliśmy na widowni „majorów” i „rotnistrzów”. I może nie bez głębszego znaczenia jest powiedzenie jednego z widzów — szeregowych, że z całej sztuki najlepsza była rola ordynansa Rembo, który tyle słów gorzkiej prawdy powiedział niepoprawnie lekomyślnym starszym panom.

Dla wszystkich, którzy nie wierzyli w możliwości powstania i działania dobrego teatru dramatycznego w tutejszych prymitywnych warunkach, dla tych którzy kwestionowali jego potrzebę twierdząc że żołnierzo- wi wystarczy rewia, a dla wysłuchania całospoktakułowej sztuki nie „będzie miał cierpliwości”, „Damy i huzary”, jak zresztą i poprzednio grana sztuka „Tu jest Polska”, były odpowiedzią rozwijającą wszelkie wątpliwości. Żołnierski Teatr Dramatyczny wykazał, że w życiu kulturalnym wojska chce i może być po- zycją o niewątpliwiej wartości.

Wacław Radulski wyreżyserował sztukę według klasycznych, najsłab- szych wzorów polskiego teatru. Elementem aktorskim dyspono- wał bardzo rozmaitym. Od nazwisk na scenie dobrze znanych do zupeł- nych debiutantów. Tym niemniej udało mu się nadać widowisku po- ziom równy, bez widocznie słabszych punktów. Sytuację jak i charaktery poszczególnych postaci opracował Radulski mistrzowsko, wydobywając z nich maksimum humoru i komi- zmu. Za wielką zasługę policzyć też trzeba reżyserowi, że nie pozwolił aktorom popaść w przesadę tak nę- cącą w komediach charakterów.

O zespole aktorskim można mó- wić tylko z pełnym uznaniem. Nie- trzeba przy tym zapominać, że akto- rzy pracują, tak zresztą jak i teat- ry rewii, w warunkach, w któ- rych by grać nie chcieli „artyści” najprymitywniejszego cyrku wędrow- nego.

Na czoło doskonałego jako całość zespołu wybijali się Stanisław Bel- ski (major) i Feliks Karpowicz (kapelan). Maski, każde słowo, ruch i gest były dowodami dużego talentu i bardzo uciążliwej pracy. Gra Bel- skiego i Karpowicza nasuwała re- miniscencje świetnych przedwojen- nych czasów polskiego teatru. Nie- ustępowali im Kazimierz Utnik (Grześ) i Adolf Bożyński (rotnistrz). Obaj ci zdolni aktorzy mają za so- bą już piękną tradycję z „Tu jest Polska”. Występy „W Damach i hu- zarach” pogłębiły sympatię, jaką się cieszą u żołnierzy. Niestety, Bożyń- ski na skutek nieszczyśliwego wy- padku musiał chwilowo przerwać występy, by pójść do szpitala. Zastę- puje go Antoni Kaczorowski, za- słyniony aktor starszego pokolenia, zawsze pełen werwy i temperamentu.

Józef Skwierczyński (Rembo) do- brze wywiązał się ze swej niewielkiej roli. Jak już zaznaczyliśmy wyżej, cieszył się z pewnych względów specjalnym powodzeniem.

Panie — jedna lepsza od drugiej. Nie wiadomo wprost, którą specjalnie wyróżnić. Jadwiga Domańska odno- siła podwójny sukces. Jako kierow- niczka teatru wykazała wielką ener- gię i przedsiębiorczość przy organi- zacji tej trudnej imprezy. Na scenie jako najgroźniejsza z trzech sióstr (Orgonowa) dała dowód, że posiada talent o bardzo szerokiej skali. Klara Belska (Dyndalska) i Anna Wdowiń- ska (Aniela) stworzyły przeabawne typy staroświeckich panisów. Ucha- rakteryzowane były kapitalnie, a każ- de ich poruszenie się wywoływało buragany śmiechu. Belska, która już wyróżniła się w poprzedniej sztuce, zapowiada na dobrą aktorkę charakterystyczną. Obie subrtyki — Otella Stankiewicz i Wanda Baczyń- ska — wykazały wiele werwy i zmys-łu humoru. A że przy tym ślicznie wyglądały, więc powodzenie miały ogromne.

Osobna wzmianka należy się parze amantów. Na tle soczystych, pełnych temperamentu postaci komicznych, sylwetki amantów rysują się u Fredry zbyt blade, papierowo. Zarówno Ja- nina Jasińska (Zofia) jak Hugo Krzyski (porucznik) szczególnie po- konali te trudności. Byli mili, natu- ralni. P. Jasińska wyglądała jak gdyby zeszała ze stylowego obrazka, dodajny z obrazka bardzo pięknego. Krzyski już samym wyglądem — a książę Józef w młodych latach prze- sądził z góry wynik miłosnego po- jedynku. Miał zresztą za sobą sym- patię całej widowni.

Ludwik Wiebecki dał sztuce oprawę sceniczną godną najlepszego teatru. Piękne dekoracje (wykonanie Adama Kahane), stylowe kostiumy (Piotr Szczepankiewicz i Zofia Kwiat- kowska) oraz doskonała charaktery- zacja (Jan Białkowski) odegrały nie- małą rolę w sukcesie widowiska.

„Damy i huzary” mają przed sobą długą serię triumfów wśród wojska. Potem warto by je było pokazać naszej ludności cywilnej w Palestynie a przede wszystkim w Teheranie. Nie mamy wątpliwości, że dzień przed- stawienia byłby dla tej ludności rze- czywistym świętem. Zb. R-ski

## Epopeja malaryczna

TEREN Irak jest krajem komara.

W górach na północy, w za- cisznych źródłkach, w zimnych wo- dospadach i rwących strumykach, w kamienistych cieniutkich rzeczul- kach — lęgną się larwy.

W oparach dusznych bagien na południu, w widłach rzek i nad Shatt al Arab, w dżelcie i nadmors- kich zalewach — lęgną się larwy.

W sennych kanałach, wśród pal- mowych gajów, w matowych taflach pól ryżowych, wzdłuż grządek wa- rzyw i zagonów zbóż — lęgną się larwy.

W jamach, z których wykopano glinę, w starych korytach zaniedba- nych rzek, w dołkach wybitych w ziemi kopytem osiołka — lęgną się larwy.

Komar ma swoje życiowe wyza- czaje. Bywa ekskluzywny — wylega się tylko w dziuplach drzew, gdzie woda deszczowa utworzyła malutką cysternę.

Wszędobylski bywa i pospolity — rodzi się z kałuży, w której gniją zwłoki zdechłego psa.

Kocha ciepło — mieszka w glinia- nych oborach.

Jest w tubylecznych wioskach i w gwarynych miastach, w samotnych kapliczkach ematarnych i w foku bazarów. Jest w namiotach, lepian- kach i wśród ruin. Jest wszędzie.

WROG Jeżeli w jednym i tym sa- mym terenie znajdziesz się pa- sożyt malarii — w krwi człowieka chorego, przenosić — komar anopheles i człowiek wrażliwy — żołnierz — wybucha malaria.

Malaria jest chorobą krwi. Ruch- liwe, niebezpieczne pierwotniaki wnik-ają z słońca komara do drobniutkich naczyń. Przechodzą cykl rozwojowy. Gotują naloć.

W pewnej chwili następuje atak. Miliony i miliardy malutkich stwo- rzonek wświdrowują się w czerwone ciałka krwi. Organizm się broni. Urządzenia alarmowe szaleją. Białe ciałka niszcza przeciwnika, którego dopadną. Fabryki chemiczne pracują z wysiłkiem.

Chory ma gorączkę.

Podychając na szkiełkach grube krople krwi. Mieni się roztwór Giem- zy fioletową ngielką. W soczewkach mikroskopu pękate rozety trzeciacz- ki lub delikatne pierścienie złośli- wej zimnicy, błękitne z czerwonym kamyczkiem. Aż pomyśleć trudno, że te drobne twory, niewidoczne, ślicznutkie, cacane są przyczyną tej straszliwej biedy, co siedzi w namiotach. Zre gorączka i krew się rozpada. Żółtka skóra i mętnieją oczy. Dzwonią zęby i puchnie śle- dzica. Krew ucieka przez ściany jłita. Tonie w burej mgle gorącz- kowej mądrym świadomości. Kregos- łup przeży się w bolesny łuk i beł- kocz wargi pomyłone słowa. Dyszą z wysiłkiem umęczone płuca. Trze- ciaczka ziośliwa — M. T.

Zdradliwa, podstępna, zajadła. Łatwo daje się spożyć, ucieka pa- nicznie, chowa się w zakamarkach, po kościach, w wątrobie i czyha zaszczona jak pantera w dżungli, aby w stosownej chwili wyskoczyć na nowo.

Idzie zwarty cykl leczenia. Sprosz- kowana chinina z Holenderskich Indii. Pastyłki mepakryny żółte jak cytryna i zielonawe kulki pamakiny, jak uwiędły groch.

Arteria przeciwplazmodyczna. WALKA Malaria jest problemem strategicznym i wymaga stra- tegicznego podejścia.

Uderzyć chininą dopiero w tej chwili kiedy chory leży już w ma- lignie — to jest metoda lecznicza — to nie jest walka.

Walka z malarią na szeroka skalę daje wtedy najlepsze wyniki, kiedy artyleria przeciwplazmodyczna — nasze środki do walki z chorobą — uprzedza szczytowy punkt rozwoju pasożytność.

Zasada naczelna: jeśli uległ za- kazeniu zwarty zespół ludzi, to po- dejrzani są wszyscy. Trzeba badać wszystkich. Zdrowych i chorych. Pełny stan. Od dowódcy do ostat- niego żołnierza.

Badanie takie jest w toku. Cyfry preparatów przejranych w pracow- ni przekraczają sześćdziesiąty ty- siąc. Trzeba badać nieraz wielokrot- nie, aby mieć pełny, jasny obraz.

Pobieranie krwi trwa krótko. Dzie- cięciu sekund przypada na jednego żołnierza i słońca trzy krople krwi na szkiełku. Czołówka pracuje sprawnie.

Słęczą lekarze nad mikroskopami w dni upalne i duszne noce. Mimo trąb piaszkowych, haminu. W ośle- piącym blasku słońca i przy pływ- ku naftowej lampki.

Wychwytani nosiciele idą do obo- zu na przepisowe leczenie. Trudno i nudno — trzeba. Zdrowie nie jest własnością żołnierza lecz armii.

Ta metoda leczenia „na zimno”, nim się wróg rozpanoszy w tętni- cach — daje 94% wyników dobrych.

A jeśli leczy wtedy, gdy już zęby dzwonią — wyniki gorsze.

Badanie mikroskopowe pełnych stanów oddziałów, obejmujące dziesiątki tysięcy ludzi, systematyczne leczenie na zimno wszystkich nosi- celi zastosowano poraz pierwszy w dziejach malarii światowej na tak wielką skalę w polskiej armii.

Nakaz najważniejszy: dość już zakażeń. Dość było pół ryżowych w Szachryziab, Jakobaku, Czyrak- czu, Szuraku czy Kitabie. Dość zaka- żeń irackich i perskich.

Żołnierz, który dopiero obecnie zapadnie na malarię winien iść pod sąd.

Bo są przepisy i jest dyscyplina, siatki i środki ochronne. Lekarstwa i flit. Tylko dobrej woli często brak. Zastępuje ją lekkomyślność, uważa- na za dziarską, niemal bohaterką cechę.

A nam o tym zapomnieć nie wol- no, że jeśli przyniesiemy w zaka- markach tętnic malarię do Polski i zakażą się nasze komary — przy- niesiemy do ojczyzny w darze kata- strofalną kleskę.

Dr Seweryn Ehrlich

## Składki

Stefan F. zamiast kwiatów dla matki przebywającej w Polsce w dniu jej imienin 12.VII. 43. składa kwotę 3 D. 1. na pomoc dzieciom polskim w ZSRR.

## Sprostowanie

W nr 19(51) „Orla Białego” wy- wydrukowaliśmy mylnie w dziale ofiar na rzecz jeńców woj. nazwisko jednego z ofiarodawców. Nazwisko powinno brzmieć: plut. Wiktor Bart- niczak, a nie Bortniczek.

## SALUS REIPUBLICAE SUPREMA LEX

DOBRO RZECZYPOSPOLITEJ NAJWYŻSZYM PRAWEM

PODSTAWĄ ARMII JEST DUSZA PROSTEGO ŻOŁ- NIERZA. DOPÓKI DUSZA TA JEST SIŁNĄ, ARMIA WYTRZY- MUJE DOŁĘ I NIEDOŁĘ, GDY DUSZA TA SIĘ ZAŁAMIE — UPADEK ARMII JEST NIEUCHRONNY.

Józef Piłsudski

# Baltyk czy Dunaj

Po raz już drugi w publicystyce angielskiej ukazują się głos wywoływający, że główne zadania Polski leżą na Bałtyku, że naczelnym jej obowiązkiem jest zjednoczenie narodów bałtyckich i stworzenie federacji przede wszystkim z trzema państwami — Litwą, Łotwą i Estonią. Tezy te rozwijał znakomity publicysta brytyjski F. A. Voigt w „The Nineteenth Century and after”. Poglądy jego znane są czytelnikom „Oria Białego”. Wyrażał się on sceptycznie o przyszłości federacji polsko-czeskiej ze względu na różnice temperamentów i uosobień, dzielące oba narody, natomiast stwierdzał, że przyszłość Polski związana jest przede wszystkim z Bałtykiem, że tam znajduje się punkt ciężkości polityki polskiej.

Podobnym poglądom dano wyraz w majowym zeszycie londyńskiego „The Contemporary Review” w artykule Ernsta Kleina. Nazwisko autora i treść jego rozprawy wskazywałyby, że mamy do czynienia z publicystą austriackim. Fakt jednak udzielenia mu głosu na łamach znanej czasopiśmie brytyjskiego nie może ująć naszej uwagi. W artykule „Konferencja naddunajska” autor nawiązał do jednego z oświadczeń ministra Edena, który zapewniwszy, że rząd brytyjski popiera idee bloków regionalnych, wymienił jako przykłady tych bloków federację polsko-czeską i grecko-jugosłowiańską. Zdaniem p. Kleina, minister Eden miał jedynie słuszność wyrażając się w ten sposób o federacji grecko-jugosłowiańskiej. Grecja i Jugosławia są „państwami bałkańskimi i mają wiele ze sobą wspólnego w zakresie stosunków historycznych, gospodarczych i politycznych. Nie można tego powiedzieć o Polsce i Czechosłowacji”.

## SPRAWA FEDERACJI POLSKO-CZECHOSŁOWACKIEJ

„Choć oba narody — pisał p. Klein — należą do północnych (? zachodnich) Słowian wyjąwszy ich nie stanie się punktem wyjściowym dla bloku regionalnego, obejmującego kraje środkowej, wschodniej i południowo-wschodniej Europy. Jak każdy związek między dwoma „narodami” również i federacja polsko-czeska może być poświadczona z zadowoleniem, ze względu jednak na dwudziestoletnią opozycję polityczną i gospodarczą, która istniała między obu krajami — wystarczy tu wspomnieć spór o Cieszyń — unia ich nie otworzy drogi dla rozwiązania zawitych zagadnień środkowej, jak i południowej oraz południowo-wschodniej Europy. Wręcz przeciwnie, droga ta wiodłaby w złym kierunku. Hr. Sforza, ostatni minister spraw zagranicznych w Włoch zanim odjął się one czarnym koszułom, przyjął zarówno Polaków, jak i Czechów, a wróg totalizmu, wywodził w niedawno wydanej książce „Wojna totalitarna i powojnie”, że czesko-polska „federacja jest niebezpieczna, gdyż nie jest barziej niestrzeżoną od federacji dwóch państw”. Niech nam wolno będzie dodać — pisał dalej p. Klein — że ta szczytna federacja jest poza tym nierozsądna, gdyż usiłuje związać dwa państwa, które należą geograficznie do dwóch różnych obszarów:

Polska do Bałtyku, Czechosłowacja do kręgu dunajskiego”.

„Wista i Niemen — czytaliśmy dalej — są rzekami rozstrzegającymi dla rozwoju Polski oraz innych krajów bałtyckich. Polityka prowadzona z uporem choć bez powodzenia przez rząd Polski po pierwszej wojnie światowej, by utworzyć pod polskim przywództwem federację państw bałtyckich, stanowiła tylko logiczne, lecz współczesne nawiązanie do jej tradycyjnych zasad. Takie jest również jej zadanie obecnie. Czechosłowacja jest integralną częścią basenu dunajskiego i fakt ten znajdował wyraz historyczny, gospodarczy i kulturalny w monarchii Habsburgów w Austro-Węgrzech”.

## BLĄD POLITYKI BENESZA

Dalszy ciąg artykułu stanowił obronę monarchii habsburskiej jako koncepcji wiążącej narody naddunajskie, zespolone położeniem geograficznym oraz interesami gospodarczymi. Autor uważa, że myśl ta powinna odzyskać obecnie i połączyć w federację nie tylko Austrię i Czechy, ale również Węgry i Rumunię. Koncepcję tę niewątpliwie jednostronną i która na potka przez zbytnie swe rozszerzanie na poważne opory, rozciąga autor również na Jugosławię i Bułgarię, Grecja i Albania, choć należą wyłącznie do stryfy bałkańskiej, związane są na tyle z Bułgarią i Jugosławią, że winny być, zdaniem p. Kleina, również przyłączone do rozległego obszaru obejmującego ogólnie mówiąc środkową i południowo-wschodnią Europę. „Dunaj dla narodów naddunajskich, a Bałtyk dla narodów bałtyckich” — oto hasło, które w końcowych wnioskach wysuwa autor proponując, by w ostateczności obie federacje, bałtycka i naddunajska, związały się w silną konfederację i utworzyły blok 120 milionów ludzi.

Przy sposobności p. Klein wystąpił z krytyką polityki p. Benesza w okresie między obu wojnami światowymi, zarzucając czechosłowackiemu mężowi stanu jego przesadne obawy przed Habsburgami, gdy tymczasem Czechosłowacji groziło inne niebezpieczeństwo — ze strony Hitlera. P. Benesz swego czasu stał jednak na stanowisku, że mniejszym złem dla Czechosłowacji byłoby połączenie Austrii z Niemcami niż usadowienie się Habsburgów w Wiedniu. Groził, że z chwilą przybycia arcyksięcia Ottona do stolicy Austrii przedstawiciele Małej Ententy opuściłyby to miasto. Tymczasem do Wiednia wkroczył nie Habsburg, a Hitler, lecz wówczas Mała Ententa — główne narzędzie polityki p. Benesza — przestała istnieć. Obecnie, zdaniem p. Kleina, p. Benesz zmienił zdanie. Sprawa Habsburgów przestała być dla niego sporna. Traktuje ją bez sentymentu i bezstronnie. Pochłania go obecnie zagadnienie Hitlera.

## ZAGADKA PRAGI

Tyle wywody p. Ernsta Kleina. Przyjmując nawet, że jest to głos propagandy Habsburgów, którzy cieszą się na terenie Stanów Zjednoczonych znacznym poparciem, zasługuje on na uwagę przede wszystkim

ze względu na miejsce, w którym został wypowiedziany. Z uwag tych wynika, że choć koncepcja wyodrębnienia państw Europy środkowej jest w Anglii dość rozpowszechniona, to przecież organizacja tego obszaru oraz zagadnienie stosunków między poszczególnymi jego członkami nie są jeszcze ustalone. Scierają się na ten temat różne wyczuły. Lecz do stanu płynności przyczynia się w Niemczech chwytliwa i zmienna polityka niektórych przywódców czechosłowackich. Taktyka wiązania się ze wszystkimi — a więc z Niemcami poprzez Haagę, z Londynem i Waszyngtonem poprzez Benesza, a jednocześnie i z Moskwą — sprawia, że zagadnienie, jak w ostateczności ustali się polityka Pragi, przedstawia dziś znaczne trudności.

Skorzystanie przez Czechów z pierwszej sposobności komplikacji polsko-sowieckich, by „zawiesić” rokowania federacyjne z Polską i uzależnić dalsze ich losy od zgody Moskwy, choć na pewno nie zaszkodziło znawców dróg polityki czechosłowackiej, musiało wywołać w opinii polskiej falę rozczarowania, a może i zniechęcenia. Trudno dziś istotnie ustalić, jakie ostatecznie wpływy i kierunki zwycięży w Pradze. Z wywodów p. Ernsta Kleina można by wysnuć wniosek, iż istnieją dość znaczne siły w krajach anglo-saskich, które postawią politykę czeską przed dylematem wyboru nie tyle między Warszawą a Moskwą, jak to wyobraża sobie p. Benesz, ale między Warszawą a Wiedniem. W tej sytuacji i my musimy brać pod uwagę wszystkie ewentualności. Nie zaniebując stosunków z Czechami winniśmy szukać innych również dróg wyjścia dla rozwiązania zagadnień Europy środkowej. A drogi te istnieją niewątpliwie.

## BAŁTYK OGNIWEM POLSKO-BRYTYJSKIM

Zastanawiający jest w każdym razie fakt pojawienia się w publicystyce brytyjskiej głosów kładących taki nacisk na specjalne zadania Polski nad Bałtykiem. Powinno to przypomnieć nam, że pierwsze i zasadnicze nasze cele wojenne znajdują się właśnie nad tym morzem, że od ugruntowania naszej pozycji nad Bałtykiem nie tylko przez teoryjtalne rozszerzenie naszego do niego dostępu, ale przez stworzenie tam właściwego układu politycznego zależy przede wszystkim nasza przyszłość.

W przeciwieństwie jednak do wojny poprzedniej — kiedy z dostępu do morza uczyniliśmy niemal główny aksonat naszej polityki wojennej — tym razem sprawy Bałtyku zeszły na plan drugi, a jak wynika z odgłosów prasy, postulaty naszej polityki bałtyckiej są postawione w publicystyce naszej i obecnej na ogół słabiej niż można to było przypuszczać. Wynika to może stąd, że unii z Czechosłowacją, przedstawiającej się dziś nie z polskiej winy tak problematycznie, poświęciliśmy znacznie więcej uwagi niż sprawom bałtyckim, wymagającym szczególnie pieczołowitego traktowania.

Jeżeli armia nasza w dniu 1 września 1939 roku znalazła się w sytuacji strategicznej takiej, jak gdyby przegrała już wielką, zasadniczą bitwę, to nie tylko dlatego, że Czechosłowacja zajęta była przez wroga — jak to zbyt jednostronnie było określane — ale przede wszystkim dlatego, że dzięki posiadaniu Prus Wschodnich armie Hitlera w pierwszym dniu wojny znajdowały się już niemal w sercu Polski, a pomoc brytyjskiej floty była uniemożliwiona na wskutek zamknięcia przed nią dostępu na wody Bałtyku.

Chcąc w przyszłości utrzymać współpracę polityczną między W. Brytanią a Polską — a to winno być jednym z celów naszej polityki — nie powinniśmy zapominać, że klucz do dalszego naszego współdziałania ze światem anglo-saskim leży na Bałtyku, gdzieś koło Sundów duńskich. Jesteśmy, jak sądzimy, tak samo jak W. Brytania zainteresowani w tym, by Bałtyk był morzem wolnym, otwartym, by żadne mocarstwo nie mogło go dowolnie zamykać, ani czynić z niego, jak to stało się w tej wojnie, wielkiej bazy wypadowej dla ludzi podwodnych oraz dla innych korsarzy wyprawiających się na Morze Północne i na Atlantyk. Widocznie i w Anglii zagadnienie to są podobnie stawiane, skoro pojawiają się tam głosy przyznające Polsce specjalne zadania właśnie na Bałtyku.

## DROGA DO PRAGI WIEDZIE PRZEZ BAŁTYK

Nie znaczy to, byśmy nie byli żywo zainteresowani losem obszaru naddunajskiego, od którego wbrew może ubocznym tendencjom p. Kleina — nie zamierzamy się odcinać. Zależy więc nam na pozostawieniu kluczy do Dardaneli w rękach Turcji, obchodzi nas przyszłość Pragi i Bratysławy, obok wszakże przyszłości bliższych nam Węgier i Rumunii jak i innych narodów żyjących między Rosją a Niemcami. Polska racja stanu wymaga, by cieszyły się one prawdziwą wolnością i żyły z Polską w stosunkach możliwie najściślejszych. Nie chodzi zatem o odgrządzenie się od krajów naddunajskich, ale o właściwe stopniowanie na tych celów wojennych przez postawienie Bałtyku przed Dunajem, a nie na odwrót. Ścisłsze związki z Pragą osiągniemy zresztą wtedy tylko, gdy będziemy silni, a siłę zdobędziemy wówczas, jeżeli usadowimy się mocno nad Bałtykiem. Droga do Pragi wiedzie nie przez Cieszyń, ale również przez wody tego morza, w którego obronie przystąpiliśmy do wojny.

Arp

**PAMIĘTAJ  
— O —  
DZIECIACH  
POLSKICH  
W Z.S.R.R.**

# DRUGI DZIEŃ NA KAMIENNEJ GÓRZE

Poniżej drukujemy fragment z książki Marty Wańkownicówny pt. „Siostra miłosierdzia pod dwoma okupacjami”, zawierającej przeżycia autorki z wrzesnia i października 1939 r.

Obudziła mnie wcześniej Krystyna. Była piąta czy szósta rano. Wpadła ze dworu dysząc chłodem świtającego jesiennego dnia. Pociągnęła za róg kołdry.

— Wstawaj! Samoloty w zagajniku!

— Jakie samoloty? — spytałam niedobudzona jeszcze.

— Nasze, oferno! Polskie! Wstawaj!

Zerwałam się na równe nogi. Wybiegłam do zagajnika, o parę kroków od domu. Na wyrabanej w lesie polance stało pięć samolotów myśliwskich zamaskowanych pościanymi młodymi chłopcami. Pobok pasło się pięć par koni. Kręciło się paru żołnierzy. Objasniono mi, że „pan porucznik poszedł do dworu”. Słowo „porucznik” było wymówione z pełnym respektem nabożeństwem. Dziwna to była wojna, w której niemal wszędzie dowodzil w samodzielnym inicjatywach porucznicy, potraciwszy kontakt z dowódcami swoich jednostek, odmówiwszy rzucenia broni, wspomagani przez podchorążych, tych po szkole i tych z pierwszych roczników.

Idę do domu. Przez podwórze, w przejściu miga mi wielki biały kożuch i czapka oficera piechoty. To porucznik prowadzący samoloty.

Zastaję go przy stole nad szklanką gorącego mleka i kawalkiem razowego chleba. Dwór był spustoszony jedzeniowo przez ciągłe przemarzenie żołnierskie. Ale porucznik uważa, że wszystko jest świetnie. Wszystko. Nawet sytuacja ogólnie nie jest tak zła. Bolszewicy wprawdzie idą. To prawda. Ale właściwie nikt nie wie: przeciw nam, czy z nami. Rozkazów żadnych naszego dowództwa w tej sprawie nie było, a oni mówią, że idą bić Niemców. Może to i prawda... Rozbrajanie się naszych wojsk to chwilowe i lokalne zdarzenia. O! Jakis dowódca stracił głowę. Zachwiał się jakiś człowiek, o co tymi rozrywaniem się wybuchami bomb dniami nie było trudno. Więc wszystko będzie dobrze. Porucznik prowadzi już samoloty sześćdziesiąt kilometrów. Ciągnie je po prostu koniami, przywiązane do wozów. Skrzydła mają podniesione, żeby się mieściły na wąziutkich polnych drogach. Bo porucznik musi prowadzić swój „dobytek” nocami i bocznymi ścieżkami w obawie przed samolotami niemieckimi, w obawie przed coraz zacieśniającymi się chwytynymi maskami zmortyzowanych oddziałów niemieckich. Dniami zapada gdzieś po lasach, maskując maszyny. Kiedy śpi? Nie wiem. Bo nocami osobiście kieruje jednym z wozów, a w dzień wysyła gońców po wsiach okolicznych, do najbliższych ośrodków wojskowych po języka, po wiadomości, po konie na zmianę, po jedzenie, po obrok dla koni.

Samoloty są całutecznie. Nie uszkodzone. Pięć myśliwców. Unieruchomione tylko z powodu braku benzyny. Porucznik ciągnie je więc do najbliższego ośrodka koncentracji wojsk, którym wydaje mu się Chełm. Postać tam dziś rano gońców na rowerze po rozkazy.

— Z Chełma podobno wojsko się ewakuuje na Hrubieszów — potra-

samy głowami niepewnie. — Czy pan porucznik tam kogo złapie aby?

— To pójdę do Hrubieszowa — mówi porucznik nie martwiąc się wiele. — Gdzieś przecież się narzęcznie zatrzymają i przydadzą się moje myśliwce. Gdzieś przecież mają benzynę.

Nie przeraża go jeszcze siedemdziesiąt kilometrów, które miałby do zrobienia w niezwykle ciężkich warunkach. Trudno. Ciężko to ciężko, ale za to uratuje samoloty.

Porucznik jest zmobilizowany do piechoty. Do ratowania myśliwców pociągnął go jednak własny, ukochny zawód, własna, entuzjastyczna praca, pasja życia: lotnictwo, konstrukcja. Porucznik w cywilu jest inżynierem PZL. Nie mógł patrzeć na poniewierające się samoloty. Zebrał czterech piechociarzy, gapiących się z otwartymi gębami na dziwne maszyny i obmacujących sękatymi chłopskimi paluchami co toto jest. Wygrzebał jakoś jednego „fachowca” sierzanta lotnika. Porekwirował pod wody, poskładał skrzydła, przygotował samoloty do dzwiennej dla nich drogi, umocował do wozów i ruszył w drogę. Trzyma ludzi z rewolwrem w ręce. Inaczej rozleźliby mu się. Są wymęczeni i zdenerwowani. Ziębnięci, głodni. Zdemoralizowani tym, co się dzieje naokoło: żołnierzami wracającymi luźno do domów, bez broni, bez pasów, poszczególnymi grupami, jak maruderzy, jak w dezercji, jak po kłesce.

Bo przecież to jest dzień „wrzesnia. Już od 7 dni bolszewicy są w Polsce, od 6 dni Niemcy ogłaszają, że... „Feldzug in Polen” jest zakończony.

Po śniadaniu wyciągam ostatnie jakie się w domu uchowały papirosy. Trzy. Podaję je porucznikowi.

— Czy pan pali? —

— Paliłem — mówi porucznik smętnie — ale od tygodnia nie miałem papierosa w ustach. Strasznie mi tego brak. Pani nie ma pojęcia czym dla mnie jest w tej chwili papieros! Ja mogę nie jeść, ale muszę palić. Co prawda teraz i nie jem i nie śpię i nie palę. No, ale trudno!... Za to samoloty uratuję.

— A co pan zrobi jeśli w Chełmie rzeczywiście nie maspodziwanej koncentracji wojsk? Jeśli w ogóle jej nie ma?..

— Wymontuję to co najcenniejsze w samolotach — silniki i postaram się dobrze je ukryć.

Idziemy do samolotów. Przed porucznikiem przeży się niebieski mundur sierzanta lotnika.

— Panie poruczniku melduję postuszenie, że ucieki jeden furman i dwie junaczki.

— Tym lepiej — mówi lakonicznie porucznik, ale spojrzawszy na nasze miny parska śmiechem.

— Te junaczki, to był kłopot większy niż pięć samolotów razem wziętych — objaśnia. — Nie miałem koni do piątej maszyny. Raptem patrzę, aż tu pod płotkiem w jednej ze wsi stoi wóz zaprzężony parą porządnych koni. Dojrzałem to, choć konie to nie moja specjalność, ale jakoś wydały mi się „pociągające” ze wszystkich punktów widzenia biorąc. Posłałem więc żołnierza, chcąc to ze sobą wziąć. Tymczasem zaczął się wielki gwałt. Na wozie siedzą cztery niewiasty, jedna brzydza od drugiej i wrzeszcza, że je obrabowują. Okazały się junaczki. Furman ich gdzieś poszedł. Mówię im grzecznie: — „Jeśli panie junacz-

ki, to wóz podlega rekwizycjom wojskowym, to znaczy jest wojskowy. Wobec tego biorę go”. Krzyczały, protestowały, nie godziły się, ale ponieważ ja także nie ustępowałem — (musiąłem przecież jakoś zaprząć mój piąty samolot!) — więc skapitulowały pod warunkiem, że one także pojedą. Skrzywiłem się, ale cóż było robić? Potrzebowałem koni bardzo. Wziąłem. To było moje przekleństwo przez te trzy dni ostatnie. Teraz dowiaduję się, że dwie z nich jednak miały dosyć mojego „wiktu” i sposobu życia, wprawdzie małoowniczego, ale dość uciążliwego i zwały wziętych ze sobą na dokładkę furmana. Furman był leń, tchórz i niedołęga, baby były niecznośne więc się cieszyły tylko w duchu powtarzając mądre przysłowia: „baba z wozu — koniom lżej”. Ot i cała historia...

Gwizdek.

— Zaprzęgać!

Kończy się spokojny roboczy dzień w polu. Fornale poją konie u studni na środku podwórza.

Dla nich zaczyna się dzień pracy. Ruszą swoimi niezręcznymi zaprzęgami ciągnąc za sobą ciężkie, nieporęczne kadłuby samolotów.

„Ce voyageur aile qu'il est gauche et veule” przypomnia mi się wiersz Baudelaire'a o albatrosie. Patrzę na podczajony bliżej dziwaczny kształt. „Lui, nague et si beau, qu'il est comique et laid!” dzwonią mi w pamięci słowa francuskiej poezji.

Zasła wracając z pół i dziedzińska, obejrzeć nowy inwentarz kamiennogórski. Jej serce, przyzwyczajone już do bolesnych rekwizycji, ścisnęło się jednak, gdy spojrzała na wyciętą lysinę w młodym zagajniku, na powalone chójki.

— Bardzo mi przykro, naprawdę proszę pani — tłumaczył się porucznik. A może pani chce, to ja kwit pani wystawię na wypłacenie odszkodowania za wyrabane drzewka.

Roześmieliśmy się wszyscy. Zyla jeszcze z zeszłej wojny tradycja „płacenia” kwitami. Niedawno to przecież, jak za życia naszych rodziców. Dwadzieścia lat zaledwie. Zresztą gdzie tu kwity teraz, gdy nie przynajęć się do tego sami przed sobą jeszcze wiemy, że to już, że nadchodzi z dnia na dzień, z godziny na godzinę — kłeska.

Sierżant przychodzi meldować, że wszystko gotowe do drogi. Ostrożnie, przez wąskie przejście z zagajnika na podwórze, wyprowadzają samoloty z lasu. Jeden z nich zawadziw-

szy skrzydłem, obalił słup od anteny. Porucznik wstrzymał się jeszcze i kazał natychmiast wszystko doprowadzić do porządku.

Pojutrze mam wracać od samego świtu do Chełma, do szpitala. Umawiamy się, że się odnajdziemy i że porucznik, który ma genialne wręcz zdolności w zakresie fasowania i wynajdywania rzeczy, których wydawałoby się, że na pewno nie ma, wynajdzie mi gdzieś w Chełmie biały materiał na fartuch szpitalny. Znam Chełm od dwunastu lat ze wszystkimi jego faktorem, pośrednikami, kupcami i handlarzami. Mimo to nie mogłam znaleźć nigdzie ani kawałka białego materiału. Liczę więc już tylko na porucznika...

— Powodzenia, panie poruczniku w imprezie samolotowej!... — wołamy. Porucznik gramoli się właśnie na pierwszy wóz zbierając nieopradnie leje. Sklął wprawdzie dopiero co jednego z podkomendnych piechurów, że się nie umie z koniami obchodzić („Prawdziwy żołnierz, psia-krew, wszystko umie zrobić i znaleźć! A ty oferno, koniom porządnie wyjechać nie umiesz?!”). Uśmiecha się, zwraca ku nam twarz, zalaną księżycem. Nieforemny, zadarty nos drga w precuciu nowej, drażniąco niebezpiecznej wyprawy. Małe, białe oczka wypatrują drogę w ciemnościach. Spojrzył ku nam ostatni raz, zasalutował. Ojchjali.

Taki był drugi mój dzień na Kamiennej Górze.

W Chełmie nie spotkaliśmy się z porucznikiem. Koncentracji tam nie było. Nie było nigdzie. Bolszewicy byli tu, o kilkudziesiąt kilometrów. Zydy w miasteczku poczęli hardziej. Rusini zbutnieli. Zdezorientowani kolonisci niemieccy nie wiedzieli co myśleć o tym wszystkim.

Gdy dochodziłam do szpitala, dwa kilometry za miastem, na szosie przed bramą szpitalną, na wprost wejścia zobaczyłam ustawione rzędem jeden za drugim — pięć samolotów. Silniki w nich były wymontowane. Zniknęły. Konie, wozy, piechury, junaczki, sierżant - lotnik, porucznik — nie zobaczyłam żadnego z nich nigdy, nie słyszałam o żadnym z nich nigdy więcej.

Luźność rąbata na opał martwe, sztywne kadłuby. Serce silnikowe im odjęto. Życie z nich uszło. W kilka dni nie zostało z nich nic.

Marta Wańkownicówna



W junackiej szkole mechaników lotniczych praca wre. Podczas zajęć praktycznych chłopcy rozbierają samolot „ypu „Hurricane”.

## ŚWIADECTWO WROGA

# NIEMCY O KAMPANII W POLSCE

Bohaterskie zmagania żołnierza polskiego z germańskim najezdźcą we wrześniu 1939 r. jeszcze do dnia dzisiejszego nie zostały szczegółowo oświetlone i opracowane. Polacy bili się wówczas bez świadków, bez korespondentów wojennych, bez ekip filmowych. Nikt nie wysłał w owym czasie o opracowywaniu dziennikarskich sprawozdań z linii frontu, nikt nie miał czasu interesować się poszczególnymi fragmentami tej tragicznej walki całego narodu polskiego o wolność i prawo do życia. Główni aktorzy tej tragedii w znacznej większości są dziś poza drutami obozów jeńców i obozów koncentracyjnych lub polegali na polu chwaly. Nazwiska bohaterów są nieznane. Pola bitew porosły już trawą. Nikt nie prowadzi ewidencji rozszarych po całej Polsce cmentarzy.

Nad całą Polską panuje mrok. Świat zapomniał o Wrześniu, prasa i film znalazły inne tematy. Na arenę weszli nowi zapalczywi, tłumy emocjonują się Montgomerym, Sytylią, konferencjami mężów stanu, podróżkami Churchilla i Roosevelta.

A przecież... wszystko co się dzieje dzisiaj jest nieczym innym, jak tylko konsekwencją bohaterskiego zrywu Polski, jak tylko dalszym ciągiem polskiego Września.

Nad Polską panuje mrok... Z Polski nadchodzą potworne raporty. W Polsce odbywa się czwarty już rok z kolei ponure widowisko mordów i rzezi, widowsko tak straszne, że świat nie chce i nie może nawet dać mu wiary. Polska „Czarna Księga” jest dokumentem, do którego boją się zaglądać ludzie o słabych nerwach.

Musimy jednak mówić światu, czym był czyn żołnierza polskiego we wrześniu 1939. Musimy przypominać, co dał ten żołnierz Europie, musimy pokazywać, jak wielki jest wkład Polski w torzącą się do dnia dzisiejszego drugą wojnę światową.

Na polach bitew wrześniowych nie było korespondentów angielskich, amerykańskich i francuskich — byli jednak korespondenci niemieccy. To też Niemcy są krajem, w którym wydana została największa ilość książek i opracowań o kampanii wrześniowej. Z książek tych, z materiałów niemieckich — możemy czerpać dowoli, bowiem każdy nieomal rozdział tych książek mówi, chcąc nie chcąc, o bohaterstwie polskiego żołnierza, świadczy o tym, jak drogo kosztował Niemcy napad na Polskę.

Przyjdzie jeszcze czas, gdy uzu-

pełnimy nasze wiadomości o kampanii wrześniowej relacjami uczestników bitew, którzy są dziś w niewoli. Narazie jednak oddajemy głos Niemcom. Świadek wroga nie wymaga komentarzy.

Oto bierzemy jedną z wielu książek niemieckich o kampanii wrześniowej: „Wir zogen gegen Polen” — „Ruszyliśmy przeciwko Polsce”. Pod tytuł tej książki informuje, że jest to zbiór wspomnień wojennych żołnierzy VII korpusu armii, wydany nakładem Zentralverlag der N. S. D. A. P. w Monachium w r. 1940.

Oto fragmenty tej książki w dostojnym tłumaczeniu z niemieckiego: „Nasz sztab korpusu stoi kwatery w zamku koło Pilicy. Nagle rozlega się alarm. Oddziały polskie przełamały się i szturmują na główną kwaterę sztabu. Wszyscy chwytają za broń — oficerowie, straż sztabu, telefonisti, pisarze. Tyrallirą obsadzają pobliskie wzgórza i zajmują pozycje dookoła zamku. Piekarnia połowa pozostawia swoje piece i obsługą dołącza się do linii strzelców. Leć wszystko to nie jest rzeczywista obrona. Meldunki o nieprzyjacieli brzmią poważnie.”

A oto fragment z przebiegu innej walki z otoczonym przez Niemców oddziałem polskim:

„Plutonowy wybiera kilku tegich chłopów, ażeby zajęć Polaków od skrzydła. Wtem nagle wyrasta jakaś postać z ziemi. Pada strzał. Polscy świetlne przecinają ciemność nocy. Widać mundur polskiego żołnierza. Usiłuje on zbiec, lecz zostaje schwytany i rozbrojony. Lampa kieszonkowa plutonowego oświetla jego twarz. Oficer polski! Doprowadzony do dowódcy pułku niedbaliśmy rucem przyjmując zaoferowanego mu papierosa. W jego obliczu odzwierciedla się nieprzenikniony wyraz całego wschodu (? — przyp. tłum.). Generał domaga się, ażeby powrócił do swego dowódcy i skłonił go do poddania się. Potrząsa głową odmownie: „Będziemy się bili do ostatniego” — brzmi jego odpowiedź.

A teraz z kolei fragmenty bitwy pod Pińczowem według relacji oficerów niemieckich:

„Ogień karabinowy grzmi, karabiny maszynowe terkozują. Nieprzyjacieli! Z domów, dachów, z szosy, z nadbrzeżnych tam — strzelają Polacy. Ich strzelcy umieszczeni na drzewach i dachach łupią w nasze skrzydło z atomatycznych pistoletów. Karabiny maszynowe odpowiadają, chłoszcząc wierzchołki drzew. Polak broni się umiejętnie i wytrwale. Na tamie wiślanej ogień jego karabinów

tworzy jak gdyby jedną, długą, błyszczącą taśmę.”

„Boże! Teraz Polacy trafili nasze Henschle (samochody ciężarowe — przyp. tłum.). Na nich znajduje się amunicja wybuchowa i miny. Oto już płonie jeden z samochodów ciężarowych, inne wylatują w powietrze. Detonacja za detonacją. Znowu trzeci i czwarty Henschel wysadzony. Pojazdy zniszczone, nie mamy więcej wozów. Ogień szaleje wokół. Teraz musimy się przebić przez gęstolę ról. Wtem otrzymujemy ogień karabinu maszynowego ze skrzydła. Trzeba z nim skończyć. Podpełzamy i rzucamy granaty ręczne. Zamiłki. Droga jest wolna...”

W opisie przebiegu bojów pod Tarnawą spotykamy takie zdanie: „... że Polacy próbują przełamać nasz żelazny pierścien jest rzeczą pewną. Ten wróg walczy z rozpaczną odwagą. Bronią się zapamiętane i męsko aż do ostatka. Do 70% dochodzą ich straty.”

W Suchowoli zakwaterowali się Niemcy w kościele. Polacy podeszli nocą i zniestancka uderzyli na Niemców. Oto relacja niemiecka:

„Nasze straż padły. Do drzwi kościoła pehają się Polacy kupa, dochodzą również do okien zgęci w przysiadzie z wiązkami granatów. Pierwsza wiązka pada pod wejście. Szybko dzwiczają i rozpryskują się na drobne kawałki. Karabin maszynowy rozłupał portal. Mury pękają. Polacy strzelają z działek ppanc. Żołnierze zrywają się, wyrwani nagłe ze snu. Jeszcze nie wszyscy wiedzą, co się dzieje. Polacy nadchodzą, gasi światła! — pada komenda. Dopiero teraz orientują się ludzie w niebezpieczeństwie. Szef kompanii ryczy: Drugi pluton bocznymi drzwiami zajmować stanowiska przy ścianie zewnętrznej! Ze stratami, udaje się to przeprowadzić. Kościół płonie w kilku miejscach. Granat z moździerza przebija dach w połowie nocy. Cegły spadają na głowy, kurz zaciera widok. Coraz więcej granatów leci przez okna. Pozostali przy życiu przbijają się na zewnątrz po przez trupy, jęczących rannych i umierających. Wita ich grad polskowski. Kościół jest otoczony. Zgiełk bojowy dochodzi również z przodu — drugi batalion został także napađnięty. Za węgla i z okniennymi donów bityskają strzały. I ludność cywilna walczy. Co za lotry!”

A oto fragment z opisu bojów monachijskiej dywizji:

„Szturmujemy bunkry na Węgierskiej Górze. Bajecznie strzela nasza artyleria. Każdy strzał siedzi w celu. Po godzinie — pierwsze rysy w jednym bunkrze. Myślimy, że Polacy się poddadzą. Naprzód! Ale gdzie tam, ani mowy o tym nie ma. Ponownie otwierają na nas ogień. Raczymy ich granatami. Dostają sporą porcję. Potem przerwa. Jeden z naszych pieciorów wskakuje na bunkier i wruca przez otwór strzelniczy granat ręczny. Strzały zmieniają się. W tym czasie podpełzają nasi pionierzy i umieszczają spory ładunek wybuchowy w szczelinie. Kryją się. Wybuch rozrywa bunkier. Nareszeć Polacy wychodzą. 8 ludzi z porucznikiem na czele, wszyscy czarni jak pudle. Czterech padło trupem w bunkrze. Pozostali przy życiu ledwo widzą. Odważni chłopcy.

W rozdziale o oblężeniu Przemysła czytamy:

„Myślałby kto, iż po boju o Przemysł nieprzyjacieli nie będzie już zdolny do zebrania się i stawiania poważniejszego oporu. Lecz po lasach, bagnach, siolach i chatach, Polak odnajdywał sam siebie i stosował przyrodzoną mu taktykę walki, jaką nakazywały mu właściwości terenu. W ten sposób po Przemysłu akordy bojów nie tylko nie przebrzmiały, lecz finale zamieniło się we wzrastające furioso.”

W innym miejscu tak opisują Niemcy walki w lasach janowskich: „O lesie janowskim żołnierze z monachijskiej dywizji będą sobie jeszcze opowiadali, gdy spotkają się po 30 lub 50 latach. Co temu „laskowi smierci”, jak go nazwano, przyniosła tę ponurą, wrytą w pamięci sławę? Nie liczba walczących lub rozmiar i ogrom zniszczenia — w wojnie światowej przeżywano daleko gorsze rzeczy — nie, to było coś innego, coś bardzo istotnego, co nadało walkom swoiste oblicze: były to polskie metody zaskakiwania w prowadzeniu walki. Co się tam działo, było prawdziwym, najbardziej rafinowanym dystrylatem polskiej duszy. Las jako kryjówka i teren wypadu, las jako miejsce zasadzki, jako schronisko i siedziba, poprzewracane pnie jako przeszkody, pełzanie, obchodzenie — słowem las jako zbrojny sprzymierzeniec — to właśnie przyniosło miejscowości Janów jej ciemną sławę.”

Dnia 17 września Niemcy rozpoczęli natarcie na las janowski w sile jednej dywizji. Czytamy:

Niezwykle ciężko poruszamy się naprzód. Zacięci bronią się Polacy i ich las o szleszczących gałęziach. Teraz dopiero wychodzi cała zdradziecka przebiegłość Polaków. Ustawicznie napadają pogrążonych we śnie żołnierzy.”

A po wznowieniu natarcia rankiem „Już można było odczekać, gdy wtem we mgłę wczesnego ranka nastąpił wypad uczniów lwowskiej Szkoły Wojennej. Wypad ten wprawdzie odparliśmy, lecz kosztował on nas duży niemieckiej krwi. Ginie dowódca kompanii w lesie janowskim, weteran wojny 1914/18, w 20 lat po jej zakończeniu. Teraz dopiero otwiera się droga do wsi Janów. Początkowo wydaje się ona wymiarla. Polacy jednak i we wsi stosują swoje leśne metody. Wciągając w zasadzkę, strzelają nagle z ukrycia, znikają w kryjówkach, strzelają z zamaskowanych okiennic, rzucają się do szaleńczego przeciwnatarcia — oto były elementy polskiej sztuki wojennej. W spokoju przepuścili przez wieś kompanię straży przedniej — dowódca dywizji i pułku stali już na rynku, gdy wtem... co to jest? Przeraziłszy gwizd ze wszystkich stron. Skąd ten ogień? Tu porusza się okiennica, tam z lekkim skrzypem wrota stodoły. Tu znowu rusza się korona drzew. Jesteśmy zaskoczeni. Kryć się! Polskie przeciwuderzenie rozwija się w całej pełni.”

„Polskie przeciwuderzenie rozwija się w całej pełni”... Tak jest. Nasz Wrzesień nie dobiegł jeszcze końca. Polskie przeciwuderzenie rozwija się w całej pełni i nadal, w każdej godzinie, w każdym dniu. Na lądzie, na morzu i w powietrzu. Nie przestaliśmy walczyć. Wojna z Polską nie skończyła się dotąd dla Niemców, jeszcze nie przeszła — jak się niektórym Niemcom zdawało — do wojennej literatury niemieckiej.

Wróćmy.

## JEDNA Z LEGEND WSCHODU

Widok igrających w słońcu na rozpalonych kopulach meczetów gołębi dziwnie chwytła za serce. Przypomina się Rynek krakowski, kościół Mariacki w Krakowie. Gołębie... są takie same... słodkie i czuujące.

W Bagdadzie żyje stara, bardzo ciekawa legenda o gołębiach. Kiedy kalif El Mustassen Billah, 37 kalif z dynastii Abasydów, udał się do meczetu by odprawić codzienne modły, spostrzegł biednego derwisa, którego jedynym bogactwem była klatka z parą gołębi. Kalif, który był łagodnego serca, podszedł ku niemu i dał mu sakiewkę z pieniędźmi. Derwisz był tak tym zaskoczony,

że nie wiedział jak podziękować swemu dobroczyńcy, podał mu jedyny swój skarb — klatkę z gołębiami i prosił go o przyjęcie skromnego daru El Mustassen przyjął podarunek, ale otworzył klatkę i wypuścił znajdujące się w niej gołębie. Ptaki poderwały się do lotu, usiadły na minarecie meczetu. Pozostały od tam już tam na zawsze. Zycząc przy meczecie tysiączne rzesze gołębi bagdadzkich są według tej legendy potomstwem pary wypuszczonej na wolność przez kalifa.

Patrz — wirują — białe — puszyste — symbol pokoju.

St. Leg.

„Myślałby kto, iż po boju o Przemysł

W. J.

# ŻOŁNIERZE POLSCY STUDIują W SZWAJCARII

W dzisiejszym tak tragicznym dla nauki polskiej okresie, kiedy młode pokolenie polskie już czwarty rok pozbawione są oświaty, tym bardziej wzrasta znaczenie każdej naszej placówki oświatowej za granicą. Jedną z najważniejszych pozycji w tej dziedzinie są studia uniwersyteckie żołnierzy naszych, internowanych w Szwajcarii.

Studia uniwersyteckie Polaków internowanych w Szwajcarii zorganizowane są w 4 ośrodkach obozowych: we Fryburgu, w Herisau, w Winterthur i w Wetzikon. Łącznie studuje około tysiąca internowanych. Każde polskie centrum uniwersyteckie związane jest ze szwajcarskim uniwersytetem i podlega kierownictwu szwajcarskiego profesora, który odpowiedzialny jest za organizację studiów i który opiera się w pracy na kwalifikowanych siłach polskich. Program studiów uwzględnia tradycję i potrzeby naukowe polskie z jednej strony, z drugiej strony dostosowany jest do wymagań uniwersytetów szwajcarskich.

Jednym z najważniejszych problemów organizacyjnych była konieczność pogodzenia swobody studiów z zachowaniem obozowego trybu życia internowanych i dyscypliny wojskowej. Międzynarodowa bowiem ustawa dotycząca internowanych wojskowych jest w Szwajcarii ściśle przestrzegana. Z tego powodu rząd szwajcarski nie zgodził się na przyjęcie internowanych Polaków na uniwersytety w dużych miastach uniwersyteckich i powstała konieczność utworzenia polskich ośrodków naukowych. Ośrodki te zachowują zewnętrzną formę obozów, do każdego z obozów przydzielony jest oficer szwajcarski jako komendant. Jeżeli chodzi o polskie siły naukowe, znalazły się one pośród internowanych. Poważną również trudnością była potrzeba opanowania przez Polaków języków francuskiego i niemieckiego w stopniu pozwalającym na prowadzenie studiów. Wszystkie jednak trudności zostały szczęśliwie pokonane przy dobrej woli ze stron obu i polskie centra uniwersyteckie w Szwajcarii działają już trzeci rok.

Najlepsze bodaj warunki dla studiowania mają studenci polscy we Fryburgu. Mieszkają oni w dawnym budynku uniwersyteckim i korzystają z względnej swobody. Polskie centrum uniwersyteckie we Fryburgu liczyło w roku ubiegłym 115 studentów i miało dwa kompletne wydziały: prawny i sztuki. Niezależnie od tego studiuje we Fryburgu kilkunastu studentów teologii katolickiej. W roku ubiegłym na 91 studentów przystępujących do egzaminów tylko 7 (tj. niecałe 6%) egzaminów nie zdało.

Ośrodek w Herisau jest ośrodkiem dla nauk ekonomicznych i handlowych i liczy przeszło 100 studentów. Prócz tego pewna ilość studentów przygotowuje w tym ośrodku doktoraty.

Centrum w Winterthur posiada 9 wydziałów, w tym: architektoniczny, mechaniczny, elektryczny, budowy maszyn, rolnictwa i leśnictwa, chemii, medycyny, weterynarii, prawa, psychologii i pedagogii. Jest to najważniejsze centrum naukowe polskie w Szwajcarii. Studiuje tu około 400 internowanych. Niestety jednak praca wydziałów technicznych nie jest oficjalnie uznawana przez uniwersytet w Zurichu ani przez Federalny Instytut Technologiczny, ponieważ

wydziały te nie posiadają odpowiedniego wyekwipowania technicznego, laboratoriów, pomocy naukowych itp. Jedynym wyjściem byłoby przeniesienie studiów technicznych do Zurichu, przeciwko temu jednak wojskowe władze szwajcarskie mają wiele zastrzeżeń. Są nadziejemy na pomyślne załatwienie sprawy.

Ośrodek w Wetzikon wreszcie przy-

gotowuje internowanych do studiów uniwersyteckich i do matury. Matury ośrodka w Wetzikon są oficjalnie uznawane zarówno przez czynniki naukowe polskie jak i przez szwajcarskie. Egzaminy odbywają się w języku polskim, obowiązuje jednak znajomość języka francuskiego lub niemieckiego w słowie i piśmie. Wszystkie te ośrodki studenckie

posiadają, stosownie do polskich tradycji akademickich, organizacje Bratniej Pomocy i inne. Okresy wakacyjne studenci polscy w Szwajcarii poświęcają pracy na roli, aby w ten sposób choć w części odwdziżyć się szwajcarskim gospodarzom za zrozumienie, jakie okazują oni nauce polskiej w potrzebie.

## Przez z maszyną!

Na stole leżą dwa zeszyty miesięcznika „Sitwa”, w dawanego połączonymi siłami Rysiów, Żbików i Wilków oraz egzemplarz „Szopki”, pozostającej w niewątpliwiej sytuacji z tamą „Sitwą”.

Recenzję powinien by napisać raczej kolega plastyk, jako że mamy do czynienia nade wszystko z dziełem sztuki plastycznej. Przeważała jednak obawa, że sama nazwa „Sitwa” jest tak anty-dywiduizyjna, iż musi nastroszyć przeciw sobie wszystkich naszych fachowców, zwłaszcza gdy i wykonanie, wedle mego laickiego poglądu, niewiele ma wspólnego z neo-impresjonizmem. Preto mogłoby się okazać, że brak temu wszelkiej kultury i w ogóle bez poziomu — skądże zresztą wymagać kultury malarskiej od rysiów czy żbików... A chociaż wiem, że vox populi to żaden argument, trudno mi się wstrzymać od uwagi, że

z tych, którym się to podoba, jak mnie się podobało, łatwiej stworzyć dywiduizję niż z przysięgłych dywiduizjoniści.

Pierwsze spojrzenie na „Sitwę” nieodparcie prowadzi na myśl — inkunabuly. Pamiętacie — te pracowicie latami w zaciszu cel klasztornych kaligrafowane i zdobione księgi, stanowiące skarb wielu bibliotek i muzeów. Pisano je przed wynalezieniem druku i później, bądź dla trudności druku bądź z zamiłowania, jako sposób wypowiadania się beznimiennych często artystów.

„Sitwę” cechuje ta sama co inkunabulny staranność, dbałość o wygląd. Dobrane piękny papier, wyraźna piękna kaligrafia, inicjały, winitety tytułowe, soczyste, pełne humoru akwarele i smaczne, dowcipne wycianki w tekście są wzajemnie szarmonizowane, stanowią całość,

k której żadna stronica nie jest „puszczona”.

Wojsko bywa przyrównywane do zakonu, jednak benedyktyńska cierpliwość nie wydawała mi się dotąd naszym rysem charakterystycznym. Przypomnę też szczerze, że przeglądając z przyjemnością owe trzy zeszyty sądziłem najwinnie, że na tym się twórczość naszych sympatycznych „zwierzaków” musiała wyczerpać. Aliści dowiaduję się rzeczy zdumiewających: że „Sitwa”, co prawda pod zmienionym tytułem, wychodzi już od czasów Tatyszczewa (była wówczas własnością samych Rysiów), że jest co miesiąc wykonywana w pięciu egzemplarzach zeszytowych i szóstym stanowiącym gazetkę ścienną. Ten ogrom pracy jest oczywiście dziełem zbiorowym. Udało mi się odcyfrować na paru numerach jedynie nazwisko głównego, jak się zdaje, ilustratora: pchor. R. Kopyś. Sądzę, że tak on, jak i kaligrafowie mogą liczyć na przyjęcie do zakonu bez nowicjatu...

Szczerze każę przyznać, że z tekstami jest słabiej. W tych paru zeszytach nie dostrzegłem większych indywidualności pisarskich. Ale o to trudno kogoś winić: Słowaccy i Zeromscy nie rodzą się na kamieniu. Niewątpliwie ci pisarze, których Rysie, Żbiki i Wilki mają — dają z siebie ile ich stać. Poziom jest dość wyrównany, utwory nie za długie, łatwo strawne, na korzyść redakcji przemawia przewaga zdrowego humoru nad patosem i banalnym sentymentem. Przy tym wszystko tak smacznie podane...

Jedna przyjacielska rada: Nie nadużywajcie gwary. W jednym zeszycie znalazłem cztery utwory pisane gwara i to w sporej części — gwara naciągana. To jest i trochę niebezpieczne dla języka na obczyźnie i łatwo się przejada. Epizoni Wiecha powtarzają do zaudzenia te same wyrażenia, tylko w potrójnych dawkach. Myślę, że jeden twór gwarowy na zeszyt wystarczyłby w zupełności.

W jednym z artykułów przeczytałem zdanie: „Oceńcie jednak sami, czy nasza ręczna żołnierska robota nie wytrzymuje konkurencji z maszyną?” A w innym miejscu wzmianka o możliwości przejścia na odbitki maszynowe. To mnie przeraziło. Kochani Chłopy! Możecie być pewni, że żadna maszyna nie wytrzyma konkurencji z wami. Rozumiem — pożytność, ekonomia pracy, wszystko przemawia za maszyną. Ale „Sitwa” w odbitce powielanej, napisana na maszynie, to już tylko jedno z piasek oddziaływoch, to wyrzeczenie się tego, co stanowiło największą „Sitwy” wartość. Jeżeli więc jeszcze możecie, jeżeli wam cierpliwość starczy, róbcie choć jeden egzemplarz ręczny — będzie to kiedyś cenna pozycja w Muzeum Wojska Polskiego.

M. C.

## Z FRONTU SYCYLIJSKIEGO

(Zdjęcia przesłane drogą radiową)



Mieszkańcy Palermo entuzjastycznie witali wkraczające oddziały amerykańskie



Zdobywca Palermo amerykański gen. Keyes (pierwszy z prawej) po rozmowie z włoskim gen. Molinari, który podpisał kapitulację

# Placówka

Drukujemy wspomnienie jednego z żołnierzy polskiej placówki transportowej w Archangielsku.

W listopadzie 1941 r. wyjechała z Tockoje do Archangielska i Murmańska kompania żołnierzy. Byłem jednym z nich. Zadaniem naszym było wyładować okręty, załadować transport kolejowy i dostarczyć do armii. Zdałoby się, że zadanie jest zupełnie proste, ot pojechać i przywieźć. Tak, teoretycznie zupełnie proste, ale kto znał głębiej organizację sowiecką, ten bez trudu orientował się w prostocie tego zadania.

Pozbierali nas z różnych pułków. Okazało się jednak, że wiara była zgrana. Dowódca, kpt. K., na którego początkowo patrzyliśmy z pewną rezerwą, w ciągu paru dni tak się z nami żył, że byliśmy mu oddani bez reszty.

Z piosenką na ustach, na wesoło opuszczaliśmy Tockoję, żegnani serdecznie przez kolegów, by przywieźć im to, o czym wszyscy marzyliśmy po nocach: buty, mundury i żywność.

Po podróży trwającej przeszło 4 tygodnie dojechalśmy do Archangielska. Już zdaleka widzieliśmy dymiące w porcie kominy okrętów.

Stajemy na stacji, po drugiej stronie rzeki widzimy Archangielsk. Szukamy wzrokiem mostu, lecz daremnie, okazuje się, że miasto z portem i stacją kolejową nie jest połączone żadnym mostem, zimą przechodzi się po lodzie, a latem kursują statki.

Po chwili przychodzi ze stacji nasz dowódca. Zасыpujemy go gradem pytań, gdzie będziemy mieszkali, jak się dostaniemy do miasta. Dowódca jak ojciec z uśmiechem informuje, że mieszkać będziemy na Bakarycy około 3 km od stacji, ale za to w samym porcie, że most nam nie potrzebny, bo w mieście „tyfus”, spojrzął przy tym na nas tak znacząco, że odradził nie uwierzyliśmy w ten „tyfus”.

Jedziemy na przeznaczoną kwatery, przejeżdżamy dwa krótkie przystanki „dyżurka” (dojazdowa kolejka) i nowe m. p. Bakaryca. Zajmujemy drewniany budynek piętrowy, ale tylko górne piętro, gdyż parter jest zajęty przez cywilów. Powitali nas koledzy, którzy przybyli przed nami i od razu poinformowali pod jakim numerem na parterze mieszka blondynka, pod jakim brunetka itd.

Znużeni długą podróżą, położyliśmy się spać śniąc o nowych zionych mundurach, stosach prawdziwych skórzanych butów, niezliczonych skrzynkach konserw i paczkach papierosów. I każdy wyciągnął znużone członki, jak gdyby już ubierał się we śnie.

Na drugi dzień wewnętrzna mała organizacja i do pracy. Jedni pełnili wartość przy okrętach, inni przy ładowanych wagonach, jeszcze inni przy sortowaniu paczek. Praca szła w szalonym tempie, każdy postawił sobie za zadanie jak najprędzej odebrać ten skarb, tak długo oczekiwany przez naszych kolegów w Tockoje i Talszczewie. Dowódcy nasi o każdy wagon dla naszego ładunku musieli staczać ciężkie utarczki słowne

z sowieckim „nacjonalizmem”. Pracowaliśmy z jakimś szalonym zapalem nie zważając na mróz. Każdy jak by się obawiał, że to wszystko może nam ktoś odebrać, więc aby przedrzeć tam do armii, a oni już nie pozwolą tego ruszyć nikomu. To też cieszyliśmy się za każdym razem, kiedy odchodził naładowany transport na południe, nie wiedząc o tym, ile trudności musiał pokonać dowódca transportu żeby go dowieźć w jak najkrótszym czasie i cało.

Nawiązaliśmy serdeczne stosunki z naszą placówką cywilną w mieście pomagając sobie wzajemnie, np. przez dłuższy czas utrzymywaliśmy swoim skromnym prowiantem wywiezionych Polaków z Polesia, którzy czekali na wyjazd z Archangielska. Z Anglikami i Amerykanami w wolnych chwilach nie rozstawaliśmy się nigdy. Po szybkim rozbrojeniu okrętów z ładunku rozpoczęło się dla nas „bezrobocie”.

Próżno oczy nasze wypatrywały okrętów, darmo na każdy gwizd syreny przylepialiśmy twarze do zamkniętych okien, okręty nie przybijały...

Nagle pewnego dnia gruchnęła wieść, że do Murmańska przypłynęły okręty z polskim ładunkiem. W naszym domku zawrzało jak w ulu, kto pojedzie i kiedy!

Wybrano wreszcie szczęśliwce. Zegaliśmy ich serdecznie, życząc im owocnej pracy i szczęścia, gdyż Murmańsk w tym czasie był istnym piekłem na ziemi, zasypywanym setkami bomb niemieckich, jak później opowiadał mi jeden z kolegów. Drogi przejechali bezpiecznie, ale zaraz w Murmańsku otrzymali pierwszy chrzest intensywnymi nalotami. Na stację, miasto i port sywały się setki bomb wraz z ulotkami o treści „Pobieda budżet wasza, a z Murmańska budżet kasza”. I kiedy robotnicy portowi uciekali w popłochu porzucając okręty, wyładowywany towar, wagony, u nas każda paczka musiała być położona na swoim miejscu, żaden wagon z ładunkiem nie został bez opieki. A kiedy po skończonym nalocie uciekinierzy wracali na miejsce pracy, jakież było ich zdumienie na widok normalnie spełniających swe czynności żołnierzy polskich.

Mały, mizerny drewniany domek w którym mieszkali nasi żołnierze, stał się schroniskiem w czasie nalotów, kobiety przynosiły tam swoje dzieci i cenniejsze rzeczy pod opiekę naszych żołnierzy. Utało się powiedzenie, że w Polaków bomby nie biją, bo oni w Boga wierzą. Spryciarze z N.K.W.D. mówili, że są w znowie z lotnikami niemieckimi!

Domek stał samotny, wybili mu wszystkie szyby, pochylił się lekko na bok, jak gdyby ze zgrozy na widok braci swoich leżących w gruzach. Trząsł się w czasie nalotu niby z oburzenia, że nie szanują ani jego starości ani gości, którzy weszli w jego stare progi i trwał pochylony urągając bombom niemieckim.

Tymczasem w Archangielsku w dalszym ciągu trwało „bezrobocie”. Z nudów wzięliśmy się za rzemiosło czysto żołnierskie, za wyszkolenie

bojowe i musztrę, wolny czas uprzemijając sobie pracą kulturalno-oświatową. Ćwiczyliśmy z zapalem narciarstwa, to znowu patrol narciarskie, albo terenoznawstwo.

Nadeszły święta Bożego Narodzenia, pierwsze wolne święta w odrodzonej armii. My, grupa ludzi daleko od przyjaciół i kolegów, wzywaliśmy Boga aby w dzień Narodzenia Syna swego, zesłał nam dużo, dużo okrętów, ale nie z mundurami, bo te już były, tylko z nową, dobrą bronią. Wigilię postanowiliśmy uczcić chociaż w przybliżeniu tak, jak było kiedyś. Zaszczęśliwiliśmy nas swoją obecnością angielski komandor z kilkoma Anglikami. Chocinka, oplatek i wymowna cisza przed rozpoczęciem. Po chwili krótka, ale serdeczna przemowa komandora, przedstawiciela naszej placówki, naszego dowódcy i wreszcie niesłychana rzecz w Archangielsku, połączna pieśń do Boga, polska kolęda... Ludzie i to Polacy wychwalałają w sowieckiej stołówce Boga...

Usługujące nam na wieczery sowieckie kobiety szłochały po kątach, mówiąc cicho, że kiedyś i u nich podobnie było. Życie kulturalne prowadziliśmy żywe, staraliśmy się przynajmniej co drugą sobotę czy niedzielę urządzić jakiś przedstawienie, rewję. Wynik był nadzwyczajny, nigdy nie oglastaliśmy co robimy i kiedy, a mimo to na każdej imprezie mieliśmy Anglików, Amerykanów, a nawet Hiszpanów przebywających w porcie. Pleć słaba po prostu nie mogła żyć bez nas. Przyjeżdżali z odległych stron, by spędzić z nami parę godzin.

Oto obrazki z życia naszej placówki żołnierskiej. Któregoś dnia w maju 42 roku dostaliśmy fogram, że armia nasza opuszcza ZSRR. Rozpoczęliśmy likwidację placówki.

Na stacji żegnali nas serdecznie Anglicy, Amerykanie.

I znowu długa; droga gdzieś około 300 km od Archangielska dowiedzieliśmy się od uciekającego kolejarza sowieckiego, że w dwa dni po naszym wyjeździe Archangielsk został mocno zbombardowany. Ale nasz stary dom stał...


Marian Stokowski

## POSZUKIWANIA

412. Rymarkiewicz Władysława (Teheran, Obóz Cyw Nr 3 namiot 192) — inż. Gajewskiego Jana por. rez. 13 pp. Równe, Chojnickiego Wiczyława rtm., Chojnickiego Edmunda rtm., — wszyscy byli w niewoli rosyjskiej w Kozelsku, Łuszczewskiego Jerzego lat 26 z Równego, braci Kręciąło z Równego, Gąsiora Leona z Równego i Łukowskiego Zygmunta Bolesława z Równego.
413. Juliusz Passakas (P. F. P. 208) — Romana Dębickiego, ambasadora w Belgradzie, płk Józefa Jaruzelskiego z rodzina, płk Kaplickiego Mieczysława, prez. Krakowa, płk Jaxa-Rożena, mjr Faffa Mariana z Lwowa, mjr Jakuba Kapri, kpt. Strzembośza Stefana, inż. Kaplickiego Jerzego, inż. Biskupskiego Karola, inż. Glasshalla ze Lwowa, inż. Stroynowskiego Jana. Wszystkie wiadomości o wymienionych jak również o rodzinie Krzysztofowiczów, Passakasów, por. Zdańkiego Jana i Rowejskiego Szczępnego z Małepolski wsch. — proszę kierować pod powyższy adres.
414. Braci Roth (Konstanty, Eugeniusz i Wiktor) ziemian z Polesia, mjr inż. Jugendfeina Tadeusza ur. 25. I. 1896 r. i por. Kijaka Stanisława poszukuje inż. Władysław Krotkiewski. Wiadomości proszę kierować na ręce Zbigniewa Racieckiego (P. F. P. 58).
415. Cłomiczewski Feliks (P. F. P. 60) z m. Lipsk, pow. augustowski (był w Rosji) — krewnych i znajomych.
416. Sokół Stanisław (P. F. P. 424) — Pańkowieckiego Harytona z Hajnówki, wywiezionego w czerwc 1941 r. z więzienia w Brześciu do Rosji.
417. Kopystiańska Kazimiera (Palestyna, Jerozolima P. C. K.) — męża Hilarego, sędziego z Zabłotowa, arszostowanego 7. XI. 1939 r.
418. Bolesław Żyłko (P. F. P. 551) — Ferdynanda Kozłowskiego, syna Fabiana, ur. 1910 w Kobryniu, Feliksa Wróblewskiego z Pińska, Mieczysława Cwalino z Kobrynia i Tadeusza Wojtowicza, nauczyciela z Imienina.
419. Wysoccki Kazimierz (P. F. P. 462) matki Józefa, ojca Jana, braci Piotra, Józefa, Władysława, Bronisława i Henryka, zam. we wsi Kosewo, pow. łomżyński.

## NIEDOBRY PRZYKŁAD



Obawiam się, że to samo i nas wkrótce spotka. 



tygodniowy

## PRZEGLĄD WYDARZEŃ

ZPH

„PO ZAJĘCIU CATANII w dniu 5 sierpnia sytuacja wojsk „osi” na Sycylii stała się jeszcze rozpaczliwsza. Mimo to Niemcy stawiają nadal zajęciu opór wykorzystując znakomite dogody na obronę teren. Żołnierze niemieccy nie zatracili jeszcze wartości bojowej. Bije się on wciąż z tą samą energią jak w 1939 r., a odmienne sądy powierzchniowych obserwatorów należy zaliczyć do metod samooszukiwania się, które już tyle wyrządziły szkody.

„Premier Churchill przestrzegł raz jeszcze w mowie z dnia 27 lipca przed niebezpiecznymi złudzeniami. Stwierdza on, że same Włochy stanowią zaledwie 10 pct potencjału „osi”, natomiast siły niemieckie, choć nadzarpnięte, są wciąż „nie naruszone i nie złamane”. Hitler posiada 300 dywizji nie licząc wojsk państw zwasalizowanych. „Walczyliśmy właśnie z niektórymi z tych dywizji na Sycylii — mówił Churchill — i widzimy, że stawiają one zaciekły opór na stanowiskach dobrze dostosowanych do obrony”.

Dopiero uwzględniając wszystkie te okoliczności należy ocenić charakter walk na Sycylii i znakomity wysiłek wojsk brytyjskich i amerykańskich. Oddziały VIII armii po zajęciu Catanii posunęły się dalej wzdłuż równiny katańskiej i zajęły Acireale. Stamtąd dzieli je przestrzeń 70 km od Messyny, do której prowadzi nadbrzeżna droga i linia kolejowa wąskim pasem u stóp gór i wznieść. Droga będzie ostrzeżliwana od strony morza, lecz górzysty teren okoliczny znowu ułatwia obronę. Podobną konfigurację terenu spotykamy na północnym brzegu Sycylii, gdzie wojska amerykańskie posuwają się w kierunku Messyny i walczą dziś dokoła miasteczek Santa Agate i San Fratello.

W TEJ SYTUACJI ZASADNICZEGO ZNACZENIA nabierają walki w centrum brzońskiego skrawka Sycylii. Wojska amerykańskie idąc z zachodu od strony Troiny i Cezaro, a wojska brytyjskie obchodząc Etnę z południa od strony Bronte zbliżają się do miasteczka Randazzo, które panuje nad systemem dróg okrążających potężny stożek wulkanu Etny i prowadzących w trzech kierunkach: w stronę Messyny, Catanii i północnego brzegu Sycylii. Randazzo stało się kluczową pozycją obrony Sycylii. Zdobyć jej rozbiję wojska „osi” na dwie grupy i uniemożliwim dalszą walkę. Jeżeli Niemcy nie wycofają się na czas w stronę Messyny i Kalabrii, staną wobec jednej z największych porażek w tej wojnie.

Tak czy inaczej, Sycylia będzie zdobyta, a walki prowadzone tam przez „os” mają wciąż charakter opóźniający. Niemcy i Włosi chcą za wszelką cenę zyskać na czasie. Zacięty ich opór ma zapewne przekonać aliantów, że kompromisowa ugoda z Włochami byłaby dogodniejsza od dalszego „zbytecznego” krwawienia się. Radio włoskie wielokrotnie zaznaczało, że Włosi na kapitulację bezwarunkową zgodzić się nie mogą, natomiast, ich zdaniem, każda ugoda aliantów z Italią byłaby dla sprzymierzonych korzystna, gdyż pozwoliłaby im przerzucić masę wojsk skierowanych na Włochy na inny odcinek.

WŁOSI CHCIELIBY WYCOFAĆ SIĘ Z WOJNY, ale w taki sposób, by mieć na to zgodę Niemiec i by pozostałe ich obszary nie były po zneutralizowaniu obsadzone przez aliantów. Takie wyjście z sytuacji byłoby oczywiście niezmiernie dogodne dla Italii. Byłoby jednak również dogodne dla Niemiec Zamykałoby bowiem aliantom neutralnymi Włochami drogę do Europy. Cóżby przyszło wówczas ze zdobycia Sycylii, gdyby samoloty sojusznicze startujące z tamtejszych lotnisk nie mogły przelatywać nad Włochami, by bombardować stanowiska niemieckie na Bałkanach? Alianti nie na to walczą z Włochami, by je niszczyć, ale by poprzez nie otworzyć sobie drogę do Niemiec, które, jak podkreślał Churchill, pozostają wrogiem nr 1. Kapitulacja Włoch nie może więc utrudniać, ale musi ułatwiać dalszą walkę z Rzeszą.

Tego Włosi nie chcą jeszcze zrozumieć. Minister Eden oświadczył, że dotychczas sprzymierzeni nie otrzymali żadnych propozycji pokojowych od rządu włoskiego. Minister zaznaczał jednak, iż mogą powstać okoliczności, w których bezwarunkowa kapitulacja nie będzie niehonorowa dla tych, którzy ją zaoferują.

MARSZAŁEK BADOGLIO ZNAJDUJE SIĘ oczywiście w niełatwym położeniu. Głównie jego trudności wynikają stąd, że znaczna ilość wojsk włoskich znajduje się nie we Włoszech, ale na Bałkanach i we Francji. Natomiast we Włoszech są Niemcy. Być może Badoglio chce zyskać na czasie w tym również celu by jak najwięcej oddziałów włoskich sciągnąć do Włoch i nie narażać ich na rozbrajanie oraz ewentualne internowanie przez Niemców.

Inne trudności są natury wewnętrznej. Rząd marszałka Badoglio ma charakter dyktatury wojskowej. Dyktatura wojskowa może okazać się w pewnych okolicznościach konieczna, ale dla wypełnienia określonych zadań, wymagających szybkiej decyzji. Dyktatury wojskowe nie mogą trwać wiecznie. Tymczasem rząd Badoglio poza rozwiązaniem partii faszystowskiej na żadną decyzję dotąd nie zdobył się, a nawet pogromowi faszystów nadal raczej charakter porachunków fachowych kół wojskowych z wyższymi czynnikami partyjnymi, których generałowie włoscy zawsze nie nawidzili.

Ale to oczywiście nie załatwia sprawy. Rząd Badoglio chwali się, że opanował położenie wewnętrzne i że w kraju panuje spokój, lecz z ilości drastycznych zarządzeń policyjnych wynika, że sytuacja pod tym względem nie przedstawia się najlepiej. Ujawnienie przez rząd znaczących trudności finansowych i kosztów jakie wojna pociąga, wywołało już run na banki, co może zaostrzyć kryzys gospodarczy, zwykle źródło powikłań społecznych i politycznych. Ostatecznie nawet przeciętny Włoch może stawiać sobie pytanie, czy warto było dla dalszego prowadzenia wojny obalać Mussoliniego i wytwarzać niepotrzebny zamęt. Zamęt ten nie leży

w interesie tych, którym zależy na przyszłych losach Europy. Lecz dla uniknięcia powikłań Badoglio wienien dążyć do szybkiego przedstawienia polityki włoskiej i zerwania z impasem, z którego mogą skorzystać czynniki anarchoiczne.

UPADEK DUCE miał być może zaniepokoić Niemcy i wydobyc od nich znaczącą pomoc. Wydaje się jednak, że Niemcy nie chcą nadal rzucić większych sił w obronę upadającej firmy włoskiej. Ostatnie naloży na Mediolan, Genuę i Turyn wykazały, że obrona plot we Włoszech nadal bardzo chrobra i że w razie trwania wojny miasta włoskie wystawione będą na zniszczenie.

Niemcy — poza wzmocnieniem frontu sycylijskiego pomocy większej nie udzielili — natomiast jak się zdaje grożą Włochom w razie kapitulacji odwetem. Spotkanie von Ribbentropa z włoskim ministrem spraw zagranicznych Guasriglia miało zapewne głównie na oku wymuszenie od Włoch prowadzenia dalszej walki, a może i pewne inne cele. Nie należy wyłączać, że Rzesza zgodziłaby się na podjęcie przez marszałka Badoglio rokowań pokojowych ze sprzymierzonymi pod warunkiem wszakże, że będzie je prowadził w imieniu całej „osi”. I może marszałek Badoglio przypuszcza, że przyjęcie takiej misji wzmocniloby jego pozycję zarówno wobec Berlina, jak i sojuszników, którzy stale przypominają hasło „bezwarunkowej kapitulacji”.

W NIEMCZECH ZAGADNIENIE WOJNY I POKOJU zaczyna bowiem nabierać nowego wyrazu. W Berlinie ogłoszono o doniosłej naradzie wojennej, która odbyła się pod przewodnictwem Hitlera z udziałem niektórych ministrów, generalicji i przedstawicieli partii. Treści obrad oraz ich wyników nie podano do wiadomości, ale z charakteru zebrania wynikało, że miało ono wyjątkowe znaczenie. Przywódcy niemieccy stanęli przed dręczącym pytaniem: co czynić dalej? Sojusznicy włoski chcą opuścić „os”. W ślady jego gotowe pójść inne uzależnione państwa, jak Węgry, Rumunia i Bułgaria. gdzie wypadki włoskie wywarły ogromne wrażenie i stały się zawołaniem — jak o tym świadczą nadchodzące głuche wiadomości — do politycznego odwrótu. Cały śródziemnomorski front „osi” jest tym samym zagrożony.

NA WSCHODZIE TRWA OFENSywa SOWIECKA. Po Orle w ręce rosyjskie dostała się druga ważna baza obronna wojsk niemieckich — Bielgorod. Wojska sowieckie zagrażają dziś bezpośrednio Charkowowi. Drugim celem ofensywy jest Briańsk. Co prawda, Niemcy nie przestają tłumaczyć, że zdobyte te okupione zostały olbrzymimi stratami, które odbierają zwycięstwom rosyjskim wszelką niemal wartość. Twierdzą oni, że ofensywa Stalina była wyrazem „rozpaczy” i ostatniego wysiłku, na jaki zdobył się może „zagłodzona i wyczerpana” Rosja. Wreszcie, celem tego wysiłku było zdobycie zbiorów na Ukrainie, czego Stalinowi nie udało się jednak dokonać. Faktem jednak pozostaje, że główne linie obronne

„osi” na środkowym odcinku frontu wschodniego zostały sforsowane. Oczywiście sukcesy rosyjskie nie byłyby możliwe bez gigantycznych działań sojuszników w zachodzie i bez pomocy udzielanej Rosji przez Stany Zjednoczone i W. Brytanię.

DO TEGO DOCHODZI BOMBARDOWANIE NIEMIEC przez lotnictwo. Dziś już Niemcy nie ukrywają, że naloży na Hamburg przekroczyły wszystko, co można sobie wyobrazić. Wielkie to miasto uległo zagładzie. Zburzenie Hamburga wywarło zdaje się na Niemcach większe wrażenie niż wszystkie dotychczasowe wieści o klęskach we Włoszech i w Rosji. Zarządzona oficjalnie przez Goebbelsa jako gaulitera ewakuacja Berlina jest wyrazem uświadomienia sobie przez samych Niemców możliwości klęski. W tej sytuacji nie należy wyłączać akcji niemieckich kół wojskowych, które idąc wzorem Włochów będą może uświatliły odsunąć Hitlera i partię od władzy. Być może wypłyną nazwiska oddalonych przez Hitlera marszałków Blomberga i Brauchitscha, którzy będą chcieli odegrać nową rolę Hindenburga.

Jedyną nadzieją Niemców są Japończycy. Hitler znowu rozmawiał w obecności Ribbentropa i gen. Keilla z ambasadorem japońskim w Berlinie gen. Osazim i znowu występował wobec niego w roli petenta. Uderzenie Japonii na Rosję przyniosłoby Niemcom wielką ulgę. Lecz okres sukcesów japońskich minął również. Zdobyć przez sojuszników bazy japońskie Munda na Nowej Gwinei prowadzi do dalszego wypierania wroga z wysp Salomona.

CHOĆ ZATEM TYDZIEŃ UBIEGŁY nie przyniósł sensacji, rozumiejący wszyscy, że stoimy w przededniu doniosłych wydarzeń. W tych dniach odgrywa się spotkanie prezydenta Roosevelta z premierem Churchilllem. Na naradzie tej zapadną uchwały na temat dalszych posunięć wojennych wobec Niemiec i Japonii i ustalenie stanowiska wobec Włoch.

Stalin nie weźmie udziału w tej konferencji. Dotychczas omijał on narady anglo-amerykańskie tłumacząc się „brakiem czasu”. Prowadziło to do sytuacji, która skłeniła „Washington Post” do stwierdzenia, że „alianti nie zdolali podjąć jeszcze próby porozumienia co do przyszłych losów podbitych Niemiec”. „Washington Post” pisał to w związku z utworzeniem w Moskwie „komitetu wolnych Niemców”. Obecnie w prasie amerykańskiej ukazała się wiadomość o zamiarze powołania w Rosji „komitetu wolnych Włochów”. W związku z tym William Simms pisał w „New York World Telegram”: „Upadek Hitlera może nastąpić w sposób tak nieoczekiwany, że zaskoczy Londyn i Waszyngton, tak jak niewątpliwie zaskoczył te dwie stolice upadek Mussoliniego. Brak porozumienia między W. Brytanią, Stanami Zjednoczonymi i Rosją wywołuje duże zaniepokojenie. Na wypadek katastrofy państw „osi” i w braku porozumienia między aliantami co do przyszłych losów Niemiec nikt nie może przewidzieć, jak potoczy się bieg wypadków. Jeżeli nie znajdziemy drogi porozumienia, przewidywać należy w przyszłości poważne powikłania.”

Nie inaczej przemawiany stale do czytelników „Orla Białego”. D. I.



## WSPOMNIENIA

Dziś, do namiotu małą szparką w płótnie,  
wpadł niespodzianie dziwny promyk słońca.  
Choć świecił jasno, ale jakoś... smutnie  
i smutne struny duszy mej potrzącał.

Wspomniałem nagle Matki dłoń łaskawą,  
i Jej radosny uśmiech codziennie rankiem,  
i stary ogród, tak zarosły trawą,  
żeśmy się dniami w niej szukali z Jankiem.

Wspomniałem nagle oczy mej dziewczyny  
i jej kwitnące róż czerwienią usta...  
Białe i ciche za domem jaśminy  
i w nich czytane kiedyś książki Proust'a.

Wspomniałem śnieżnych pól i łąk przestrzenie  
i złoty latem, a zielony wiosną  
bór nasz sosnowy. Cudny jak marzenie,  
grający cicho pieśń życia radosną.

Dziwny to promyk. Tyle wspomnień wzbudził,  
przypomniał dawno już minione czasy,  
i dziś, daleko... w pośród obcych ludzi  
owionął duszę tych wspomnień atlasem.

Ten promyk nicraz, tak jak dzisiaj świecił  
w prześnionej baśniowych młodzieńczych marzeń.  
To muśnie czoło... to znów gdzieś uleci...  
a wciąż iść naprzód w dal nieznaną każe.

T. N.

## ODEZWA MATKI

Nie męczcie współczuciem — słowami pociechy.  
Nie cieszcie mnie męstwem synów poległych:  
Nie kładźcie im w groby matczynych uśmiechów  
Ni wspomnień odległych...

Nie kaźcie nam płakać łzami męczennic  
Przykutych nieszczęściem, we krwi pławionym,  
Bo każda zniewaga potrafi zamienić  
Gruzy w pociski — dynamit — zapłon!

Nie kładźcie im w serce tęsknoty za nami,  
Nie rąńcie ginących radością domów,  
Bo tutaj modlitwa narasta strzałami  
I dławi seriami gromów.

Józef Żywina

## NIEMCOM

Ja dziś już nie narzekam, dziś już się nie żalę.  
Jestem zadowolony. Czegoż brak mi jeszcze?  
Wokoło widzę czołgów połyskliwe stale,  
Rozkochanym spojrzaniem lufy armat pieszczę.

Nareszcie przecież zmienił się mój los garbaty!...  
Niedawno byłem strzępem człowieka, nędzarzem,  
Dziś — hola!... Jestem znowu wolny i rogaty —  
Jeszcze popamiętacie!... Jeszcze wam pokażę!...

W garści, w której niedawno ścisakałem łopatę,  
Znienawidzony symbol dwuletniej niewoli —  
Dziś ściskam twardą zemstę, sowitą zapłatę  
I oddam wam z nawiązką, jeśli Bóg pozwoli.

Już nas nie zaskoczą swoją sztuczką diabłą —  
Zmierzymy się żelazem — jak równi z równymi.  
Dziś już nie będę rąbał waszych czołgów szablą,  
Nie będę szedł z pięściami na wasze kaemy...

Skończyły się zwycięstwa i łatwe podboje,  
Minął czas, kiedy byłem bezbronny i słaby —  
Dziś na waszą potęgę patrzę ze spokojem —  
Spotkamy się niedługo... Szykujcie się Szwabyl!...

Dzisiaj już nie narzekam — cieszę się szalenie,  
Nie mam do swego losu ni cienia urazy.  
Jedno jeszcze mam tylko poważne zmartwienie —  
Że nie mogę już ruszyć — czekam na rozkazy...

Czesław Rosiński

## DROGA

Błyszczy wstęgą wśród lasów, zbliża serca ludzi,  
Na zakręcie wybuchu buntem kurzu w górę,  
Gradem kropel stłumiona, przyciśnięta trudem  
O doli swojej mówi szlochaniem kałuży.

Zdeptana i przybita, poryta brózdami,  
Ciężki żywot swój ciągnie koleiną czasu,  
By wreszcie wstrząsnąć zwarcie, podrzucić grudami  
I popłynąć kół śpiewem, lśnić w słońcu atlasem.

Czesław Bednarczyk

